

LASS SMALL

Zgubny wpływ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W Centrum Grand Wayne w Fort Wayne w stanie Indiana nowy szef do spraw marketingu oglądał stoiska, które w czasie trwania wystawy zajmować miała jego firma. Nagle zobaczył ją.

Jeden długi ciąg stoisk przeznaczony był dla Jamisonów. W jednym z nich pracowała właśnie ta kobieta. Czyżby też była zatrudniona przez Jamisonów?

Była bardzo zajęta i to właśnie zwróciło uwagę Mitchella Goalonga. Wsparty niedbale o kontuar słuchał, co mówi do niego Pike, ale bacznie obserwował kobietę.

Uznał, że wszystko jest w niej dość przeciętne: wzrost, figura, twarz. Dobrze by jej też zrobiło zrzuć nie kilku kilogramów. Na bardzo wysokich obcasach sięgałaby mu do brwi.

Naturalnie kręcone włosy w nijakim brązowym kolorze sięgały jej do ramion. Nosiła je rozpuszczone. Miała dobre nogi i bardzo ładną pupę. Taka typowa amerykańska dziewczyna. No, raczej kobieta.

Nie robiła nic pochoinnie. Najpierw dobrze przyglądała się całości, zanim zmieniła jakiś szczegół wystroju stoiska.

Mitch nagle uświadomił sobie, że nie tyle interesuje go jej działanie, ile ona sama. Była tak bardzo kobieca.

Wydawała się zupełnie tego nieświadoma. Wszystko, co robiła, było bardzo naturalne.

Jej szybkie ruchy, łuszcząca się szminka, potargane włosy dowodziły, że interesuje ją tylko praca, a nie własny wygląd. Stan jej ubrania świadczył, że nie wahała się i przed tarzaniem się, kto wie, czy nie po podłodze.

- Kto to jest? - zapytał Mitch, wskazując ją brodą.
- Naprawdę nie wiesz? - zdziwił się Pike.
- Nie? - Zniecierpliwiony Mitch oderwał w końcu wzrok od kobiety i spojrzał na Pike'a.

- To ta naga kobieta, która pojawia się we wszystkich naszych lubieżnych snach. W niektórych przerażających także. To właśnie ona - rzekł z przekonaniem Pike.

Mitch westchnął i uśmiechnął się.

- A więc pracuje u nas; tak? Od jak dawna?

- Od sześciu miesięcy. Podać ci dokładną datę?

Doprowadza nas wszystkich do szaleństwa. Nazywamy ją P.P., bo to istna pracowita pszczołka. Do wszystkiego się wtrąca i poucza nas, co i jak mamy robić. Jest taka poważna i szczerą, że wszyscy jej słuchamy. To z powodu tych snów, w których nam się pojawia. Udajemy, że słuchamy z przejęciem jej słów, ale tak naprawdę obserwujemy jej usta, gesty, oczy i ruchy ciała, i niewiele z tego, co mówi, do nas dociera.

Mitch czekał. Wiedział, że Pike w końcu przejdzie do sedna, a tymczasem przyglądał się tej Pracowitej Pszczołce, aranżującej stoisko.

Były tam towary z działu odzieży damskiej do kupienia w sklepach Jamisonów. Zaplanowana na najbliższy czerwcowy weekend wystawa, zatytułowana „Jesteśmy tutaj”, przedstawić miała mieszkańcom miasta asortyment towarów z miejscowych sklepów i domów towarowych.

Mitch z trudem oderwał wzrok od kobiety i spojrzął na urządzone przez nią stoisko. Zwiedzający mogli je ogarnąć jednym spojrzeniem. Był tam wyłącznie damski manekin udający, że zmaga się z jesiennym wiatrem. Jedna ręka przytrzymywała kapelusz. Żakiet i spódnica były rozwiane i widać było skrawek czerwonej podwiązki. Jedna noga była uniesiona, by pokazać but.

Bardzo to było pomysłowe.

Mitch słuchał dalej zwierzeń Pike'a na temat męskich reakcji na dekoratorkę i zapamiętał, że nazywa się Sally Yoder i ma dwadzieścia siedem lat.

Tymczasem Sally za kilkoma płachtami karbowanego papieru w jesiennych kolorach umieściła niewielki elektryczny wentylator i włączyła go.

Powiewające jak liście paski papieru i unoszona powiewem spódnica manekina na pewno przyciągną uwagę zwiedzających. Znakomity pomysł.

Sally przez chwilę przyglądała się swemu dziełu. Przetawiła odrobinę wentylator i jeszcze raz sprawdziła efekt.

- A problem polega na tym, że ona z a w s z e ma r a c j ę! - ciągnął Pike. - To sprawia, że każdy z nas robi od razu krok do tyłu.

Mitch zmrużył zielone oczy. A więc ta dziewczyna zawsze ma rację? Wszyscy są na nią napaleni, a jednak onieśmiela ich? Pięknie wykrojone usta Mitcha wydeły się w ironicznym uśmiechu.

Koszula dekoratorki wysunęła się ze spódnicy. Na nogach miała adidasy, za uchem ołówki. Była tak przejęta swoją pracą, że nie widziała nikogo.

Mitch spojrzął na inne stoiska. Były całkiem niezłe. Ładne. Profesjonalne. Standardowe.

Popatrzył znów na stoisko Sally. W odróżnieniu od innych, martwych i nieruchomych, jej wirowało i przyciągało wzrok. Przypinała teraz karteczki do różnych części ubrania modela. Były widoczne z bliska, nie psując ogólnego widoku.

Mitch był ciekaw, co też napisane jest na tych karteczkach, zaciekawia więc one na pewno także zwiedzających.

- ...a wtedy ona zamachnęła się i walnęła go w głowę - mówił Pike. - A on się wcale nie wściekł! A ona powiedziała: „Nigdy więcej tego nie rób! Rozumiesz?” Potraktowała go jak niegrzecznego malca! Chłopcy wybuchnęli śmiechem, a po chwili i on się do nich dołączył. Zachował się nie w porządku i wiedział...

- O kim ty mówisz? - Mitch nagle spojrzał na Pike'a.

- Ty mnie wcale nie słuchasz. O Andym. Teraz patrzy na nią z zachwytem, tak jak reszta. Możemy to zrobić, bo ona w ogóle nas nie zauważa, chyba że chce, Żebyśmy coś dla niej zrobili. Wtedy uśmiecha się jak anioł i jest bardzo miła. Wypruwamy sobie żyły, żeby zyskać jej aprobatę. Czy wiesz, na ile godzin musiałem wymienić się z chłopakami, żeby dostać to miejsce, z którego mogę ją widzieć? Nigdy byś nie uwierzył!

Zmrużonymi zielonymi oczami Mitch rozejrzał się po stoiskach naprzeciwko Sally. Nie było tam ani jednego mężczyzny, który by coś robił. Wszyscy gapili się na zapracowaną Sally Yoder. Nawet Jake, który przecież mógłby być jej dziadkiem.

Mitch postanowił, że po wystawie poradzi Jami-sonom, by wylali tę osobę, samą swoją obecnością uniemożliwiająca pracę innym. Znów spojrzał na nią.

Ma dość znajomości, by pomóc jej znaleźć nową pracę. Przejrzał w myślach te znajomości i kilka jednak od razu wyeliminował. -

Mitchell miał metr osiemdziesiąt dwa wzrostu i zbliżał się do trzydziestki, owej granicy między młodością a dojrzałością. Jego włosy były tak samo zwyczajnie brązowe, jak włosy Sally. Wyglądał równie dobrze w strojach sportowych, jak i w garniturze. Wiedział, że jest przystojny. Wychowali go jednak przybrani rodzice, którzy stale przypominali mu, że dobry wygląd to nie wszystko.

Mitch już sam przekonał się, że jego wygląd w pewnych sytuacjach bywa bardzo pomocny, w innych wprost przeciwnie. Wiedział też, że to samo dotyczy kobiet i to w każdym wieku.

Jego czujny wzrok skierowany był na Pracowitą Pszczółkę, jednym uchem słuchał jednak długich wywodów Pike'a na temat Sally Yoder.

Nagle Sally odeszła. Mitch zaniepokoił się i od razu skarcił się za tę reakcję. Wróci. I rzeczywiście. Sally zawróciła i jeszcze raz przeszła wzdłuż stoisk, mimochodem odpowiadając na pozdrowienia.

Uśmiechała się automatycznie, czasem machała ręką, ale cała jej uwaga skupiona była na jej własnym stoisku.

Znowu przestawiła wentylator.

Była fascynująca.

Stała i patrzyła. A potem sobie poszła.

Po prostu... poszła.

Nastrój dnia zmienił się natychmiast. Ludzie na sąsiednich stoiskach snuli się bez celu i gawędzili.

Mitch zmarszczył brwi. To ona skupiała całą ich uwagę. Kiedy odeszła, nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. On zresztą też.

Dla dobra firmy Jamisonowie muszą się jej pozbyć.

Na ubiegłorocznym kursie zarządzania kładziono na to duży nacisk. Bardzo przystojny mężczyzna lub kobieta wprowadzają chaos. Mężczyzna może trochę mniej. Z nim można jakoś sobie poradzić. A kobietę, jeśli nie jest członkiem zarządu... albo kochanką członka zarządu... trzeba koniecznie przenieść w jakieś odległe miejsce, gdzie nie będzie powodowała zamieszania. Albo wyrzucić pod jakimś istotnym pretekstem, żeby nie zaskarżyła firmy o dyskryminację kobiet.

Dni Sally są policzone. Na pewno ma jakąś wadę, którą da się wykorzystać jako pretekst.

Choć Mitch jeszcze przez długi czas snuł się po wystawie, udając bardzo zajętego i zainteresowanego, Sally nie wróciła. ..

Obejrzał stoiska innych firm, jak zawsze bardzo proste i zwyczajne.

Nie znajdując dalszych powodów do zwłoki, musiał w końcu wyjść. Zrobił to bardzo niechętnie.

Aż się zawstydził, bo wydawać się mogło, że on także uległ czarowi Pracowitej Pszczółki. Zajrzał jednak w głąb własnej duszy i uznał, że to nieprawda. Nie był oczarowany.

Udał się na obiad, na który zaproszono wszystkich, którzy mieli jakiś związek z wystawą. Mitch wiedział, że ma prawo tam być, sprawiło mu jednak przyjemność, kiedy pan Jamison osobiście zadzwonił, żeby upewnić się, czy przyjdzie.

To Mitch miał wyciągnąć sklepy Jamisonów z za-
stoju.

To on zaproponował firmie zorganizowanie wystawy. Miały być na niej reprezentowane towary ze sklepów miejscowych właścicieli. Jamisonowie mieli

być jedynymi właścicielami sklepów z odzieżą i wyposażeniem wnętrz. Z błogosławieństwem pana Jamisona Mitch udał się do Izby Handlowej i przekonał ich do swego pomysłu.

Reakcja pozostałych firm była bardzo entuzjastyczna, inicjatywą zainteresowały się też prasa i telewizja. Na sobotę zaproszono grupę bluesową Heavy Weather z Austin w Teksasie i to był znakomity pomysł. Bilety, sprzedawane we wszystkich sklepach muzycznych i stoiskach z płytami, rozeszły się jak ciepłe bułeczki.

Grupa Billa Smalla przyjechała z Teksasu poprzedniego wieczora i odwiedziła kilka szkół i trzy szpitale. Wszędzie towarzyszyła im prasa i telewizja.

Na uroczystym obiedzie była większość personelu firmy Jamisonow zatrudnionego przy wystawie, była tam także Sally. Mitch zachowywał się bardzo ostrożnie. Nie podszedł do niej od razu. Zrobił kilka zdjęć szefom firmy. Śmiali się i zachowywali jak ludzie, którzy chcą, żeby zrobiono im zdjęcie, ale wstydzą się do niego pozować.

Jamisonowie zawsze nosili szare garnitury w ciągu dnia i granatowe lub czarne wieczorem. Trudno było odróżnić jednego od drugiego. Wyróżniał się wśród nich tylko patriarcha rodu, Edgar. W rodzinie Jamisonow byli prawie sami mężczyźni. Wyprodukowali tylko jedną kobietę. Miała na imię Abigail.

Ubrany w granatowy garnitur, Mitch udzielał wywiadu telewizji. Był tym trochę zaskoczony, ale kiedy spojrział na Edgara, ten uniósł w górę szklankę mrożonej herbaty i uśmiechnął się do niego. To on to zaaranżował.

Mitch znakomicie sobie radził w takich sytuacjach. Szczególnie lubił wywiady z zaskoczenia.

- Dlaczego był pan pewien, że wystawa odniesie sukces? - pytała dziennikarka.

Bardzo dobre pytanie.

- Mamy tu w Fort Wayne wiele wspaniałych sklepów, których właścicielami są mieszkańcy naszego miasta. Chcieliśmy obywatelom o tym przypomnieć. To miasto aktywnych ludzi. Jesteśmy dumni, że stanowimy jego część.

- Czy pan jest rodowitym mieszkańcem tych stron?

- Świeżym rodowitym mieszkańcem - odparł Mitch. Dziennikarka była zachwycona tą odpowiedzią.

- Większość zatrudnionych w naszych sklepach pochodzi z tych okolic. Kupujący zawsze mogą spotkać u Jamisonów kogoś z rodziny lub znajomych. To stara, rodzinna firma.

- I udało się wam ściągnąć z Teksasu zespół Heavy Weather.

- Tak. Podobnie jak pracownicy naszej firmy są utalentowani i bardzo oryginalni.

- Kto z obecnych na sali jest rodowitym mieszkańcem tych stron?

- Zna pani rodzinę Jamisonów.

Kamera skierowała się na nich, a oni znowu unieśli szklanki z mrożoną herbata i uśmiechnęli się.

- Kto jeszcze?

Mitch wymienił kilka osób i wskazał je dziennikarce. Potem przypomniał sobie o kimś jeszcze. Pracowita Pszczołka też stąd pochodzi.

- I panna Yoder.

Kamerzysta nie miał najmniejszych trudności ze znalezieniem panny Yoder. Kiedy spoczęła na niej kamera, Sally tylko na moment uniosła głowę i zaraz wróciła do jedzenia z trzymanego w rękę talerza.

Kamerzysta był oczarowany. Gdzieś w tłumie Mitch usłyszał pełne rozbawienia parsknięcie Pike'a. Wszyscy mężczyźni dzielali uczucia kamerzysty.

A Mitch wiedział, że obecny na przyjęciu mężczyzna myśli już o chwili powrotu do domu, kiedy to nagrają na wideo wieczorne wiadomości. Będą mogli sobie potem mieć Sally jak żywą, i to w kolorze, i oglądać, oglądać, oglądać aż do zniszczenia taśmy. Będą puszczać ją w zwolnionym tempie i obserwować jej usta zdejmujące kęs z widelca. A potem spojrzysz w obiektyw kamery i uśmiechnie się, a każdy z nich będzie się łudził, że Sally śmieje się wyłącznie do niego. Każdy będzie o tym snił.

Mitch westchnął i uznał, że bardzo się napracował przy planowaniu i organizowaniu wystawy. Jest wykończony i kręci mu się w głowie. Powinien pójść do domu, wziąć prysznic, ogolić się i przebrać. I nastawić wideo.

Było trochę upokarzające, kiedy uświadomił sobie, że niewiele różni się od zaślepionego tłumu wielbicieli Sally.

Zawsze mógł sobie powiedzieć, że chce po prostu znaleźć na tej taśmie coś, co pomoże mu w wyrzuceniu jej z pracy. Jakie to proste.

Wyprostował się i od razu poczuł się lepiej.

- Jak się panu podoba nasze miasto? - zapytała dziennikarka, której wreszcie udało się oderwać kamerzystę od Sally.

Mitch uśmiechnął się. Czyżby ta kobieta wykorzystywała wywiad, by się do niego zalecać?

- Czuję się tu jak w domu - odparł uprzejmie.

W odpowiedzi podała mu rękę, w której ukryta była wizytówka.

Odeszła szybko wraz z kamerzystą. Mitch obser-

wował tylko kamerzystę. Nie zdziwił się wcale, kiedy ten, już w drzwiach, odwrócił się i spojrzał na Sally.

Mitch szybko podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Sally, odwrócona tyłem, brała coś z bufetu.

Mitch ucieszył się, że przystojny kamerzysta wcale jej nie interesuje.

Udając brak zainteresowania, przedarł się przez tłum w jej kierunku. Celowo nawet na nią wpadł, a że ręce miał wolne, mógł ją podtrzymać. Bardzo dobrze mu to poszło.

- Mitch Goalong, cieszę się - powiedziała.
- Ja też zawsze się cieszę, kiedy go spotykam
- wypróbował swój stary dowcip Mitch.

Sally odrzuciła głowę do tyłu i Wybuchnęła śmiechem.

I nagle wszystko zaczęło się dziać w zwolnionym tempie. Ludzie ruszali się wolniej, wolniej padały słowa.

Mitch czuł się jak na bezludnej wyspie. Sam na sam ze swoim problemem, któremu na imię Sally Yoder. Patrzył na nią z zachwytem.

Sally zwyczajnie oblizała wargi, ale jemu wydało się to wyjątkowo zmysłowe. Wiedział, że za chwilę pójdzie do swego nowego mieszkania i nastawi wideo.

- Gratuluję zostania rodowitym mieszkańcem naszego miasta - powiedziała Sally.
- Było to stosunkowo bezbolesne.
- Wspaniale dobierasz słowa.
- Chodzi ci o „bezbolesne“?
- O „stosunkowo”. Masz tu jakąś rodzinę?
- Mam przyrodniego brata i adoptowałem Pike'a jako kuzyna.
- Pike jest taki zabawny. Píše piosenki. Uważaj, żeby nie namówił chłopaków z Heavy Weather na wykonanie któregoś ze swoich utworów.

- Myślisz, że coś by się im spodobało?
- Pike uwielbia country. Heavy Weather mogliby wykonać któryś z jego utworów jako bluesa. Widziałeś kiedyś listę najgorszych przebojów country?

Mitch nagle zdał sobie sprawę, że są otoczeni sporą grupą mężczyzn, którzy z ochotą włączyli się do rozmowy i prześcigali się w podawaniu tytułów.

Sally z radością przyjęła ich towarzystwo. Mitch był wściekły.

- To na razie - rzucił obojętnie.
- Tak - odparła, nie przerywając wesołej rozmowy.

Mitch opuścił teren wystawy i przeszedł piechotą dwie przecznice dzielące go od domu.

Otworzył drzwi na klatkę i wszedł na górę. Na jego piętrze były tylko cztery mieszkania. Jego składało się z salonu, jadalni, kuchni, dwóch sypialni i dwóch łazienek.

Natychmiast nastawił wideo na wieczorne wiadomości.

Mieszkanie umeblowane było odrzutami ze strychów różnych kuzynów z Ohio. Większość mebli miała jakąś rodzinną historię, niektóre zostały ocalone przed wyrzuceniem na śmietnik, inne były w zupełnie dobrym stanie. Szerokie łóżko było nowe.

Mitch otworzył szafę, by wybrać ubranie. Cieszył się, że wieczorna impreza wymaga formalnego stroju, a on ma własny smoking. Z szuflady wyjął dwie lniane chusteczki i czystą bieliznę. Do kieszeni włożył prezerwatywę.

Zastanowił się chwilę i uznał swe zachowanie za beznadziejnie głupie. Wyjął prezerwatywę i na jej miejsce włożył idealnie złożoną, choć dopiero po czterech próbach, chusteczkę.

Jak długo właściwie rozmawiał z Sally? Zamienili zaledwie kilka zdań. To za mało nawet jak na początek romansu. Zmrużył oczy. Sally pewnie w ogóle nie uznaje romansów. Interesuje ją tylko trwały związek. Jemu zaś ani to w głowie.

Stojąc pod prysznicem postanowił, że będzie jej unikał. Znajdzie jakiś powód, by ją zwolnić, i na tym koniec. Koniec? A czy był jakiś „początek”?

Mitch ogolił się, nie widząc własnej twarzy, ale choć był taki rozmarzony i przejęty, nawet się zaciał.

Ubierał się z wielką starannością. Mówił sobie, że to dlatego, że wystawa jest bardzo ważna dla Jamisonów, a jemu zależy, żeby uznali go za właściwego człowieka na właściwym miejscu. Kogoś, kto ma przed sobą wielką przyszłość.

...Sally stanie jak wryta i będzie patrzyła na niego szeroko otwartymi z zachwytu oczami. A pan Jamison poklepie go po ramieniu i powie, żeby zabrał stamtąd tę dziewczynę i zaopiekował się nią.

Chyba coś mu się pokręciło w głowie.

Rozejrzał się po mieszkaniu, sprawdzając, czy niczego nie zapomniał. Powyłączał wszystko oprócz wideo. Jeszcze raz się upewnił, czy jest dobrze nastawione.

Przeliczył pieniądze w eleganckim, wieczorowym portfelu, sprawdził chusteczki, drobne i klucze. Spojrzał w lustro i uznał, że wygląda całkiem nieźle.

Po drodze wziął jeszcze maleńki, ale dobry aparat fotograficzny i zszedł na dół. Drzwi frontowe zamknęły się za nim automatycznie. Piechotą wrócił na wystawę.

Ten piątkowy wieczór, wieczór otwarcia wystawy, był wielkim wydarzeniem dla całego miasta. Przybyli

oczywiście dziennikarze ze wszystkich lokalnych stacji telewizyjnych i gazet. Wszyscy byli elegancko ubrani, szczególnie kobiety.

Mitch od razu ruszył tam, gdzie spodziewał się zastać Sally. Miał ze sobą aparat; może uda mu się przyłapać ją na niewłaściwym zachowaniu.

Ale czy to możliwe, w takim tłumie stoisk i ludzi? Nawet nie wiedział, co by to mogło być. Po prostu będzie robił zdjęcia.

Nie zdziwił się specjalnie, że część wystawy przeznaczona dla firmy Jamisonów, a wiodąca do jej stoiska, zablokowana jest przez tłum zwiedzających. Słyszał było śmiech i wesołe okrzyki.

Mitch nie był w stanie dosłyszeć, o co chodzi, ale był pewien, że ma to jakiś związek z Sally Yoder.

I miał rację.

Był wysoki, więc wystarczyło, że wspiął się trochę na palce i ponad głowami tłumy zobaczył, że powodem całego zamieszania jest właśnie jej stoisko. Wokół tłoczyły się ekipy telewizyjne, błagając o trochę miejsca.

Ludzie robili krok do tyłu, przepuszczali ich kolejno. Potem ktoś przyniósł nawet krzesło dla kamerzystów.

A Mitch aż zmrużył oczy. Sally zrobiła coś przyciągającego uwagę mediów. To mogłoby być powodem wyrzucenia jej z pracy. Po południu w jej stoisku nie było niczego, co mogłoby przyciągnąć uwagę dziennikarzy.

Tłum nadal bawił się świetnie.

- To prawda. Czy nigdy coś takiego wam się nie zdarzyło? - Mitch usłyszał nagle głos Sally.

Logiczny i spokojny. W takiej sytuacji... co najmniej dziwny.

Jej słowom towarzyszył kolejny wybuch śmiechu. Co ona takiego zrobiła? Mitch musiał się dowiedzieć.

- Przepraszam - rzekł do stojącego przed nim mężczyzny.

Ten nawet się nie obejrzał.

- Nie - odparł po prostu.

Mitch pierwszy raz w życiu słyszał, by ktoś tak reagował. Co tam się, do diabła, dzieje?

- Przesuń się - powiedział zdecydowanie i bardzo ostro.

- Wypchaj się.

- Służba bezpieczeństwa.

- Proszę pokazać legitymację.

Ależ bezczelni są ci zwyczajni obywatele.

Mitch mignął mu przed oczami kartą biblioteczną, wetkniętą w prawo jazdy.

- Jaki wydział?

- Tajny.

- A niech was, wszędzie was pełno.

- Zgadza się.

Facet przesunął się siedem centymetrów w bok. Niezbyt uprzejmie, ale jednak.

Mitch wolno posuwał się do przodu. Korzystał nadal z karty bibliotecznej, aż w końcu jakiś facet nie dał się nabrać. Mitch utknął kilka metrów od stoiska, widział jednak Pracowitą Pszczółkę.

Zachowywała się spokojnie. Była uśmiechnięta, ale wcale nie zdziwiona całym zamieszaniem. Najwyraźniej dla niej było ono zupełnie zrozumiałe.

Co też takiego przyciągnęło uwagę tłumu? zastanawiał się Mitch. Wystawy nigdy nie były szczególnie atrakcyjne dla środków masowego przekazu. Grzech, błędy, morderstwo, zbrodnia tak, ale stoisko

z konfekcją zupełnie nie nadaje się na pierwsze strony gazet.

Mitch zaczął się niepokoić. Firma Jamisonów to bardzo poważne przedsiębiorstwo. Czy potrafi naprawić szkody, jakie Sally wyrządziła jego reputacji?

- Nie przekreście nazwy firmy i miasta - usłyszał nagle jej głos.

Mitch zacisnął zęby. Oddychał coraz szybciej.

Ekipy telewizyjne zaczęły się związać. Zbliżała się pora wieczornych wiadomości.

Mitch nie ruszał się. Nie był pewien, czy powinien pozwolić im odejść. Może raczej skonfiskować i zniszczyć taśmy?

Tłum przeredził się. Mitch widział Sally Yoder coraz wyraźniej.

Miała na sobie błyszczącą czarną suknię na ramiączkach. Wyglądała cudownie. Oczywiście błyszczały. Gęste włosy falowały wokół twarzy.

Tuż obok było stoisko Pike'a.

- To nie do wiary! - wykrzyknął, kiedy zobaczył Mitcha. - Ona zawsze coś takiego wymyśla, że bije na głowę wszystkich! - zaśmiał się.

Mitch musiał odchrząknąć, żeby odzyskać głos.

- Co zrobiła? - zapytał grobowym głosem.

- To mógłby być znakomity tytuł piosenki! Muszę ją napisać.

- Pik!

- Tak, Mitch?

- Co ta Yoder zrobiła?

- Zobacz sam. Też będziesz zachwycony. Cały kraj o nas usłyszy.

O, Boże, co ona zrobiła?

Chcąc nie chcąc, przesuwiał się coraz bliżej, bo

napierali na niego kolejni zwiedzający. Był już przed jej stoiskiem. Wyglądało tak samo jak po południu. Dopiero teraz przeczytał karteczki.

„Naszych peruk nie zwieje wiatr” - informowała ta wpięta we włosy manekina.

„Nasze kostiumy nie gniotą się i wyglądają świeżo przez cały dzień” - głosiła karteczka na kostiumie.

„Nasz makijaż jest trwały” - napisane było na innej.

„Nasze kapelusze nie boją się wiatru” - widniało na kapeluszu.

I wtedy ktoś z tłumu coś mu pokazał.

Wokół kostki manekina zamotany był niewielki kawałek jedwabiu.

- Nasze majtki nigdy nie opadną bez powodu
- przeczytał.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mężczyzna dobiegający trzydziestki niewiele różni się od dziewiętnastolatka i Mitch był autentycznie rozbawiony. Z trudem utrzymywał powagę. Zdradzały go tylko oczy.

Sally oczywiście to zauważyła.

Jego głos był jednak surowy.

- Powinna to pani z kimś wcześniej uzgodnić, panno Yoder - powiedział.

- Dlaczego?

- Może zwyciężyłby zdrowy rozsądek.

- Będziemy we wszystkich wiadomościach, oczywiście, jeśli gdzieś na świecie nie wydarzy się jakaś katastrofa - odparła z dumą.

- Wydawało mi się, że jest pani kobietą skromną. Dziwię się, że wybrała pani akurat taki sposób, by zwrócić na siebie uwagę.

- Ja jestem tylko widzom - odparła, wolno cedząc słowa. - Moje majtki są...

Mitch wbrew sobie z dużym zainteresowaniem spojrzął na jej biodra.

- ...na miejscu. To ten martwy manekin zgubił majtki, nie ja. Tobie najwyraźniej nigdy nie przydarzyła się taka katastrofa w miejscu publicznym.

- A tobie? Jak to było? - zainteresował się szczerze Mitch.

- Miałam na sobie majtki zapinane na guziczki. Bardzo eleganckie, z francuskiego jedwabiu. Włożyłam je do kościoła, ubrana po raz pierwszy w futro. Szłam sobie bardzo dumna po schodach i nagle... opadły mi do kostek. Omal nie upadłam.

- I co zrobiłaś? - pytał dalej Mitch, zapomniawszy o otaczającym ich hałaśliwym tłumie.

- Zręcznie z nich wyskoczyłam, schowałam do kieszeni futra i jakby nic się nie zdarzyło, weszłam do środka. Przez całe nabożeństwo robiłam awanturę memu aniołowi stróżowi. To właśnie podsunęło mi pomysł zwrócenia uwagi na tę część garderoby. Mężczyznom, oczywiście, nigdy się coś takiego nie zdarza, ale tylko dzięki spodniom - dodała.

Mitch nie miał co do tego wątpliwości.

- Nie jestem już tu potrzebna, moje stoisko mówi samo za siebie. Czy mogę iść, czy też chcesz mnie dalej karcić i irytować?

A więc ją... irytuje.

Mitch skrzywił się, wziął ją za rękę i zaczął torować sobie drogę przez tłum. Nie próbowała się wyrywać, lecz poszła posłusznie za nim. Mitch przypomniał sobie, że chłopcy uważali ją za niedotykalską.

Chwilami napierali na nich ludzie chcący zobaczyć stoisko powodujące takie zamieszanie i wtedy Mitch czuł, że Sally się do niego przyciska. Miał ochotę odwrócić się i mocno ją przytulić.

Przekonywał sam siebie, że chce po prostu chronić ją przed zniesieniem przez tłum. Oczywiście. To rozumiałe. Wie przecież, jak często mężczyźni wykorzystują kobiety w... tłumie.

Przygryzł wargę i zaczął zastanawiać się, jak wytłumaczy całą aferę Jamisonom.

Ale dlaczego właściwie miałyby to robić? Było to idealne wyjście. Może powiedzieć tej małej, że nie bardzo nadaje się do takiego miasta, jak Fort Wayne i że powinna spróbować w Chicago albo Nowym Jorku, bo wszyscy wiedzą, że tam nic nikogo nie dziwi. Jest także Kalifornia, zupełnie zwariowana, która w dodatku i tak w każdej chwili może oderwać się od stałego lądu i podryfować w morze.

Nie chciał, żeby pojechała do Kalifornii.

Kiedy wyszli z rzędu stoisk, Mitch zobaczył Jamisonów. Mieli grobowe miny i byli bardzo poważni. Kiedy jeden z nich zauważył Mitcha, a szczególnie osobę, którą prowadził, szepnął coś do pozostałych i cała grupa demonstracyjnie odeszła. Kiwnęli jeszcze tylko do Mitcha, jakby chcieli mu pogratulować, że poradził sobie jakoś z winowajczynią.

Mitch zamiast się ucieszyć, zdenerwował się. Naganą w ich spojrzeniu była tak oczywista. A to, że odeszli, by uniknąć spotkania z Sally, było jeszcze gorsze.

Gorsze? Łatwo będzie teraz ją wyrzucić z pracy.

* Będzie musiał jednak ostrzec Jamisonów przed ewentualnym oskarżeniem o dyskryminację płci. Na pewno nie będą chcieli włączyć się po sądach. Wyrzucenie z pracy kobiety czasami jest przyczyną kłopotów.

Oczywiście gdyby winowajca był mężczyzną, na przykład Mitchellem Goalongiem, nie byłoby żadnego problemu. Mężczyzna nie ma przecież żadnych praw.

Biorąc stronę Sally, sam zyskałby opinię niepożądanego pracownika.

To była interesująca myśl.

Mitch podświadomie mocniej chwycił rękę Sally. Kiedy próbowała się wyswobodzić, dając mu do

zrozumienia, że ma co innego do roboty, rzucił jej przez ramię krótkie „nie!”

Zbliżyli się do nakrytych do uroczystej kolacji okrągłych stolików. Zgodnie z sugestią Mitcha, przy każdym miał siedzieć przedstawiciel jednej z reprezentowanych na wystawie firm. Nie pytając nikogo o zgodę, Mitch posadził Sally przy swoim stoliku.

Kiedy chciała odświeżyć makijaż, odprowadził ją do drzwi damskiej toalety, a sam wszedł do męskiej. I wtedy zjawił się tam Edgar Jamison.

- Chłopcze drogi - powiedział. - Jesteś wspaniała. Znakomicie poradziłaś sobie z tą kobietą. Widzę, że mogę na tobie polegać.

- Nie ma sprawy - odparł zdecydowanie Mitch.
- Porozmawiamy o tym w poniedziałek.

- Dobrze - zgodził się z uśmiechem pan Jamison.
- Jesteś niesamowity - rzucił na odchodnym.

Tak więc samolubne zagarnięcie przez Mitcha panny Yoder wyłącznie dla siebie uznane zostało za rozwiązanie kłopotliwej sytuacji. Dla Jamisonów Sally to „sytuacja”, z którą radzi sobie Mitch. Jakby była dzieckiem, które popełniło towarzyską gafę, a ponieważ jest za duże, by po prostu wyprosić je z pokoju, trzeba otoczyć je opieką.

Zaczekał, aż Sally wyjdzie z toalety. A więc ma jej pilnować? Spojrzał na dziewczynę. Uznał, że da sobie radę.

Przechadzali się potem po wystawie i oglądali stoiska. Żadne nie mogło się nawet równać ze stoiskiem Sally. Były zaledwie poprawne.

- Kiedyś zaciął mi się suwak - zagadnął w pewnej chwili Mitch.

- Kto ci pomógł?

- Miałem wtedy czternaście lat, a ta stara baba trzydzieści pięć.

- Trzydzieści pięć - powtórzyła obojętnym tonem Sally.

- Czy to dziwne, że ponad dwa razy starszą ode mnie kobietę uznałem wówczas za starą?

- Chyba nie.

- Ty masz dwadzieścia siedem.

- O, a skąd wiesz? Sprawdzałeś w moich papierach?

Mitch spuścił wzrok na jej usta.

- Policzyłem twoje słoje.

Jak na pniu ściętego drzewa.

Sally zaśmiała się.

- Podoba ci się praca u Jamisonów?

- Są trochę zbyt stateczni i zasadniczy.

A więc zauważyła to. Nie będzie więc już musiał ostrzegać przed ich reakcją na jej nie przemyślane zachowanie.

- Czy zawsze wymachujesz czerwoną chorągiewką, żeby sprawdzić ludzką reakcję?

- To zależy, czy mam ochotę na zabawę.

Mitch spojrział na nią zdziwiony.

- Stoisz sobie spokojnie i celowo huśtasz łódką?

Sally wzruszyła ramionami.

- Na tym polega postęp.

- Ale kończy się to wyrzuceniem z pracy.

- Są inne miejsca.

A więc może nie wystąpi do sądu.

The Hush, miejscowy zespół rockowy, zaczął grać i kilka par weszło na parkiet.

- Zatańczysz? - zapytał Mitch.

- Tak - odparła Sally.

Nie poruszyła się jednak.

- Zatańczysz ze mną?
- A umiesz?
- Oczywiście.
- A nie wyglądasz na takiego.
- A jak „taki” wygląda?-zapytał, prowadząc ją na parkiet.

- Bardziej rozluźniony.

Prowadził ją pewnie i równo, dając wyraźnie do zrozumienia, że potrafi być dużo swobodniejszy, ale stara się nad sobą panować.

- Jak nauczyłeś się tak tańczyć?

- Miałem dobre nauczycielki.

Nawet to ją rozbawiło.

- Skąd pochodzisz? - zapytała.

- Z Tempie, w stanie Ohio. A za chwilę zapytasz, gdzie to jest. Więc odpowiem od razu, że niedaleko Cleveland, nad rzeką Cuyahoga. Słyszałaś o nich?

- Chyba... nie.

- Nie słyszałaś o Cleveland?

- Chyba nie.

- Ani o płonącej rzece Cuyahoga?

- Płonącej... rzece?

- A tak. Musiała interweniować straż pożarna.

- Co się stało?

- Głównie skażenia i różne śmieci.

- To straszne.

- To było dawno temu. Teraz jest czysta.

- A więc urodziłeś się i wychowałeś w Tempie w Ohio?

- Niezupełnie. Byłem półsierotą. Moja matka żyła, ale znajdowała się w stanie jakiejś dziwnej śpiączki. Wychowałem się w rodzinie Brownów w Tempie. Przez całe życie zajmują się różnymi dziwnymi rzeczami-

mi. Jedną z nich jest wychowywanie pozbawionych opieki dzieci. Byłem jednym z nich. Traktowali mnie jak członka rodziny. Mówiłem ci, że mam tu w Fort Wayne przyrodniego brata. To Rod Brown. Ma warsztat samochodowy i też uczestniczy w wystawie. O, tam jest jego stoisko. Podczas ostatniego Bożego Narodzenia wziął w Tempie ślub z mieszkanką Fort Wayne, Pat Ullick.

- Przecież ją znam! Pracuje jako wolontariuszka w szpitalu. Twój brat to szczęściarz.

- Chyba tak. Ale on o tym wie.

- To bardzo miłe.

Zespół przestał grać, więc stanęli i patrzyli na siebie.

- Rod i Pat właśnie wzięli dwóch małych chłopców, których znalazł im Salty, mój przybrany ojciec, a Pat jest w ciąży. Rod nie posiada się ze szczęścia - mówił dalej Mitch.

- To musi być wspaniałe.

- Musisz ich poznać.

- Pat już znam. Słyszałam, że wyszła za mąż. Będzie wspaniałą matką. Kiedyś już omal nie adoptowała dwojga dzieci, którymi się opiekowała. Ale pewnie o tym słyszałaś.

- Owszem.

- Bardzo wtedy cierpiała i pomyśleć tylko, że teraz w ciągu jednego roku będzie miała trójkę! Tyle szczęścia na raz może sprawić kłopot.

- Rod był z nas najstarszy i ma duże doświadczenie z dziećmi w różnym wieku. Pat też nie jest nowicjuszką. Jak wiesz, od dawna zajmowała się dziećmi samotnych matek. Znakomicie dają sobie radę. Te dwa maluchy są naprawdę urocze. Myślą, że Rod to jakiś bóg - dodał z uśmiechem.

Ujął ją za ramiona, odgradzając od jakiegoś zbliżającego się ku nim mężczyzny.

- Bufet jest otwarty, może chciałabyś coś zjeść?
- powiedział.

- Dobrze.

Była zachwycona i tylko trochę zirytowana, że Mitch ogranicza do niej dostęp innym mężczyznom. Nie była jeszcze pewna, czy zgodzi się to tolerować.

Podeszli do bogato zastawionego stołu, a potem z pełnymi talerzami wrócili do swego stolika. Było tam tylko jedno wolne miejsce, bo nikt nie zwracał uwagi na karteczki z nazwiskami.

Rozglądali się za jakimś innym stolikiem. I to Mitch znalazł wolne miejsca i to przy stoliku w bardzo ciemnym kącie. Celowo posadził Sally tyłem do sali. Miał nadzieję, że nikt jej nie zauważy.

Przyciągała mężczyzn jak miód pszczoły.

Problem polegał na tym, że większość intruzów nie była pracownikami Jamisonów. Nie zdawali sobie więc sprawy, jacy są natrętni. Mitch próbował ich zniechęcić, ale Sally była bardzo uprzejma. Nie ma nic gorszego niż dobrze wychowana kobieta, która stara się być uprzejma, żeby nikogo nie zranić.

Powiedziała „nie” kiedy jeden z mężczyzn zapytał, czy krzesło obok niej jest zajęte.

Zgodziła się z mężczyzną siedzącym naprzeciwko, że jedzenie jest ładnie podane.

Zgodziła się z tym pierwszym, siedzącym obok niej, że nie jest Wendall Mandell, jak napisane było na karteczce przed jej talerzem. Kiedy ten bezczelny, namolny facet podał jej swoją wizytówkę, przedstawiła go Mitchowi.

Nie podała mu jednak swego własnego nazwiska.

Było to trochę pocieszające i Mitch uspokoił się, że Sally nie poluje na mężczyzn. Przynajmniej nie otwarcie. Ostatecznie ma dwadzieścia siedem lat.

— Zachowujesz się bardzo powściągliwie wobec tych wszystkich samotnych panów, mimo że ty także jesteś niezamężna i masz już dwadzieścia siedem lat - powiedział.

Odwróciła się do niego plecami i dalej rozmawiała ze wszystkimi pozostałymi mężczyznami przy stole.

Ignorowała wszelkie jego próby włączenia się do rozmowy, a potem przeprosiła i odeszła od stołu.

Więcej jej już tego wieczoru nie widział.

Dość szybko doszedł do wniosku, że jest może przewrażliwiona na punkcie swej samotności. A o trzeciej nad ranem przyszła mu do głowy dziwna myśl. Całkiem możliwe, że nie wyszła za mąż celowo.

Czyżby stracił kontakt ze światem? Słyszał o kobietach, które nie spieszyły się do małżeństwa i posiadania dzieci, ale to się zmienia. Wybitne kobiety obecnie bardzo otwarcie przyznają się do chęci zostania matkami. Jest nawet taki już dosyć zużyty cytat o tykającym zegarze biologicznym.

Pomyślał nawet, że jest zacofany... albo ona. A może... może jej po prostu nie interesuje małżeństwo?

Jego zdaniem, byłaby to wielka szkoda. To naprawdę bardzo miła osoba. Może trochę zbyt zuchwała, ale mimo to urocza.

Z tą myślą zasnął.

Sobota, drugi dzień wystawy, też była wielkim sukcesem. Niektórzy zwiedzający przyszli tylko dlatego, że mieli jakieś powiązania z właścicielami sklepów, których towary pokazywano. Mnóstwo ludzi jednak

widziało w telewizji stoisko Sally. Chcieli zobaczyć je na własne oczy. Byli nią oczarowani.

Sally rozdawała uprawniające do zniżek kupony i żartowała z kobietami, które kiedyś zgubiły, albo prawie zgubiły majtki, albo znały kogoś, komu się to przytrafiło.

Mitch zauważył, że nikt nie zdjął owego fragmentu garderoby z nogi manekina.

Wielokrotnie przechodził tam i z powrotem obok stoiska Sally, aż wreszcie udało mu się zastać ją przez chwilę samą.

- Zjesz ze mną obiad?
- Dobrze.

Nie zdając sobie sprawy, jak zaskakujące było jego zaproszenie, miał do niej pretensję o tak lakoniczną odpowiedź.

Nabrał ją. Zabrał ją do swego mieszkania.

Rozejrzała się po pokojach i wyjrzała przez okna.

- Cieszę się, że mam okazję zobaczyć jedno z tych mieszkań - powiedziała. - Patrzyłam, jak je budowano, ale nigdy nie byłam w środku. Czasami ogłaszano godziny zwiedzania, ale zawsze byłam zajęta. Bardzo tutaj ładnie.

- I mieszkańcy też są mili. Byłem w pozostałych mieszkaniach w tym skrzydle.

Sally kiwnęła głową. Nie czuła się wcale niezręcznie. Ciekawe, w mieszkaniach ilu facetów była, pomyślał z lekkim rozdrażnieniem Mitch.

Miał prawdziwy piknikowy kosz, pozostałość po jakiejś ciotce, włożył więc do niego jedzenie, serwetki i obrus.

Zanieśli kosz kilka przecznic dalej, na zadrzewiony plac przed teatrem.

- Czy masz jakieś plany na 4 Lipca? - zapytał w pewnej chwili Mitch. - Moglibyśmy przyjść tutaj na późną kolację i obejrzeć fajerwerki.

- Owszem, mam jakieś plany. A ty będziesz sam?

- Sam nie wiem. Jak wiesz, mieszkam tu od niedawna.

Spojrzał na nią, żeby zobaczyć, jak zareaguje. Wie przecież, że Rod też tu mieszka. Szkoda, że jej o tym powiedział. Nie będzie mu współczuć, że spędzi samotnie święto.

Sally była swobodna i rozluźniona. Nie uważała, że powinna go zabawiać. Milczała i przyglądała się fontannie.

Zbliżało się ku nim dwóch policjantów.

- Chyba powinniśmy już iść - rzekł Mitch.

- Ależ to była uczta - uśmiechnęła się Sally.

- Cześć, Sally - powitał ją wesoło jeden z policjantów.

- O, cześć, Ben. Co słychać?

- Nic specjalnego. A co ty teraz robisz?

- Jamisonowie mają swoje stoiska na wystawie.

Trochę w tym pomagałam.

- To tam, gdzie gra dziś Heavy Weather?

- Zgadza się.

- Zatańczysz ze mną, jak się tam spotkamy?

- Na jeden taniec możesz liczyć.

- A ja? - wtrącił się drugi policjant.

- Jasne, George, zatańczymy razem z Sue.

- Ale ty jesteś złośliwa.

Obaj policjanci wybuchnęli śmiechem i odeszli. Na Mitcha nawet nie spojrzeli.

- A ze mną też zatańczysz? - zapytał Mitch.

- Chętnie.

- Jesteś bardzo dobrą tancerką.

- Dziękuję.

- Czy myślisz, że kiedyś będziemy się ze sobą czuli swobodnie?

- Możliwe.

Nie brzmiało to zachęcająco. Ale wyszła jednak z nim z wystawy i zjedli razem obiad. Mogła przecież zniknąć, tak jak poprzedniego wieczora.

- Dokąd poszłaś wczoraj wieczorem? Zniknęłaś tak nagle.

- Miałam ciężki dzień. Poszłam do domu.

Mitch sprawdził wcześniej w papierach jej adres. Mieszkała w północno-wschodniej części miasta.

- Musimy już wracać - powiedziała.

- Masz zamiar zostawić te majtki na nodze manekina?

- Tak.

W jej głosie nie było nawet najmniejszej nuty wahania.

Spakowali resztki obiadu do koszyka i zanieśli go do mieszkania Mitcha. Sally pomogła mu go rozpakować i włożyć naczynia do zmywarki.

Na wystawie tego popołudnia znowu były tłumy, ale byli to głównie ludzie w średnim wieku i starsi. Młodsze pokolenie szykowało się na wieczór, na koncert Heavy Weather.

Późnym popołudniem Mitch wrócił do domu, wziął kąpiel, ogolił się i przebrał w sportowe ubranie. Żałował, że nie zaproponował Sally, by skorzystała z jego mieszkania, by się przebrać albo zdrzemnąć.

Ciekawe, jak by zareagowała na takie zaproszenie?

Mitch zjadł lekką kolację i wrócił na wystawę. Obejrzał stoiska Jamisonów i stwierdził, że wszystko w porządku.

Manekin Sally nadal miał majtki owinięte wokół kostki. Wentylator był włączony, ale kapelusze i peruka pozostały na miejscu.

W pewnej chwili nadszedł Pike, zmęczony i nie ogolony.

- Może chciałbyś wyskoczyć do mojego mieszkania i trochę się odświeżyć? - zaproponował mu Mitch.

- Dzięki, to bardzo miłe z twojej strony, ale wracam do siebie. Jestem wykończony.

- Może Heavy Weather poprawi ci humor. Naprawdę idź do mnie, to niedaleko. W lodówce jest jedzenie. Zrób sobie jakieś kanapki. W szafce w łazience są czyste ręczniki.

- Dobrze, pójdę.

- Na wszelki wypadek zadzwonię o siódmej, żeby cię obudzić.

- Dzięki.

Pike poszedł, a Mitch od razu pożałował swej gościnności. Pike nie był najlepszym pracownikiem i wkrótce trzeba go będzie zwolnić. Choć z drugiej strony może trochę serdeczności zachęci go do lepszej pracy.

Nie, to raczej niemożliwe. Pike niema za grosz ambicji.

Ale czy ambicja rzeczywiście świadczy o człowieku?

Mitch rozglądał się za Sally, ale nigdzie jej nie było.

Podeszli za to do niego Jamisonowie.

- Chcieliśmy podziękować ci za zajęcie się tą nieprzyjemną sytuacją.

- Jaką? - udał zdziwienie Mitch.

- Sprawą stoiska panny Yoder.

- Myślałem, że chodzi wam o to, że wczoraj wieczorem przy kolacji nikt nie zwracał uwagi na karteczki z nazwiskami.

- A tak, to rzeczywiście było nieprzyjemne. Bardzo mądrze wszystko zaplanowałeś. Szkoda, że ludzie tak to zignorowali.

- Ale wszyscy chyba dobrze się bawili.

- Tak. To prawda.
- Stoisko tej Yoder było wczoraj we wszystkich dziennikach. I dziś rano w gazecie też. Widziałeś?
- Tak.
- Nie uważasz, że powinniśmy coś z tym zrobić?
- Może omówimy to w poniedziałek rano - zaproponował po raz drugi Mitch.

Jamisonowie byli wyraźnie zaszokowani wybrykiem Sally, ale nie zrobili niczego, by usunąć kwestionowaną część garderoby.

- Moim zdaniem nie ma żadnego problemu - dodał.
- Tak. Możliwe. Porozmawiamy w poniedziałek.

Rozstali się i Mitch poszedł zadzwonić do swego mieszkania.

- Mitch? - odezwał się po dłuższej chwili Pike.
- Tak. Pike, już siódma.
- Już?
- Weź prysznic i przychodź. Zostało tu jeszcze coś do jedzenia.
- Zaraz przyjdę.
- Weź prysznic i ogol się. Będiesz nowym człowiekiem.

- Stary zupełnie mi pasuje.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

Heavy Weather zaczęli grać dopiero koło dziesiątej. Wszyscy znakomicie się bawili. Tańczyli, uśmiechali się i flirtowali. Sally nie flirtowała. Ale tańczyła, a wszyscy mężczyźni na nią patrzyli.

Mitch nie tańczył z nikim innym. Stał i patrzył. Na Sally. Kiedy zespół zaczął grać „Znajdź moją miłość”, podszedł do Sally i bezceremonialnie wyrwał ją z objąć jakiegoś mężczyzny.

Tańczyli w milczeniu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Mitch wrócił do swego cichego mieszkania, mając wrażenie, że żyje w jakiejś próżni. Nastawił taśmę i odtworzył wieczorne wiadomości, ignorując całkowicie wybuch wulkanu, jakieś zamieszki i wyciek ropy. Wreszcie znalazł na taśmie to, czego szukał. Ujrzał Sally.

Zwolnił film i patrzył. Była spokojna i swobodna. Zrobiła po prostu to, co do niej należało, zaprezentowała towary Jamisonów najlepiej, jak mogła.

Był to najwyższy stopień profesjonalizmu.

Pokazano także inkryminowaną część garderoby. Mitchowi wpadło nagle do głowy, że ktoś może ją ukraść. Rzeczony majtki nadal znajdują się na terenie zamkniętej i pustej teraz wystawy i każdy może tam wejść i wyjść z łupem w kieszeni.

Mitch wstał, wyłączył telewizor i wideo, i wrócił na wystawę. Przy wejściu okazał swą legitymację pracownika firmy Jamisonów.

- Chcę tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku - poinformował strażnika.

Pewnym krokiem, bo wiedział dokładnie, dokąd idzie, poszedł prosto do stoiska Sally. Majtki rzeczywiście nadal tam były.

Zdjął je z kostki manekina, schował do kieszeni i wyszedł, mówiąc po drodze strażnikowi dobranoc. Nie mógł pozwolić, by jakiś inny mężczyzna ukradł ten

kawałeczek pajęczyny. Nie czuł się zobowiązany, by chronić i bronić tę Pracowitą Pszczółkę, po prostu chciał dopilnować, by ich pracownica nie była narażona na dalsze kłopoty.

Wróciwszy do domu nie bardzo wiedział, co zrobić ze zdobytą częścią bielizny. Nie mógł jej przecież odnieść do sklepu ani oddać Sally, schował ją więc po prostu do szuflady. Żałował tylko, że nie ma zamka szyfrowego.

Czuł się zmęczony. Weekend był interesujący, ale bardzo stresujący. Dlaczego stresujący? No, cóż, był ten incydent z majtkami, zamieszanie przy stolikach i fakt, że Sally ma plany na święto.

No to co? Ma plany. I co z tego?

Rozebrał się i myjąc zęby wciąż się zastanawiał. Doszedł do wniosku, że incydent z majtkami mógł wyrobić Sally Yoder opinię kobiety łatwej i rozwiązłej.

A to nieprawda.

Czyżby?

Zasnął, nadal nie wiedząc, jaką chciałby, żeby była. Sny pomogły mu się zdecydować. Nie była ani trochę pruderyjna. Oszołamiała jego zmysły, a jego ciało było tym zachwycone.

Obudził się cały rozdygotany, w pognicionej pościeli. Czyżby był aż tak niedojrzały?

W niedzielę po południu pojechał do Roda. Przezornie włożył na siebie stare džinsy i bawełniany sweter. Dzieci właśnie wstały po drzemce i zaczynały wchodzić rodzicom na głowę.

Jako wychowanek Brownów, Mitch znakomicie umiał sobie z nimi radzić.

Zabrał je na dwór i pozwolił im bawić się... wodą. Używając plastikowych pojemników, zmoczyły wysys-

tko - podjazd, werandę, ścianę domu, Mitcha i nawet kilka roślin.

Mitch udawał oburzonego, a one śmiały się do rozpuku. Nie ma to jak dziecięcy śmiech.

Rozparty na leżaku, Rod przyglądał im się z zadowoleniem.

- Zmęcz je porządnie, to wieczorem szybciej zasną!
- wołał do Mitcha.

- Staram się, jak mogę!

Dzieci były całkiem przemoczone, wkrętce więc biegały po prostu na golasa. Jeden z chłopców miał prawie dwa lata, drugi niecałe trzy. Wyglądali jak amorki malowane przez dawnych włoskich mistrzów.

Mitch pomyślał w pewnej chwili, że chciałby zobaczyć, jak Sally radzi sobie z takimi dziećmi. Jak na nie patrzy, co mówi. Popatrzył na maluchy w zamyśleniu.

- Myślisz o jakiejś kobiecie - rzekł Rod.

Mitch przez chwilę wpatrywał się w niego zaskoczony.

- Co ci przyszło do głowy?

- Jesteś dzisiaj jakiś inny. Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że spotkałeś jakąś kobietę.

- Spotykam wiele kobiet. Stanowią ponad połowę populacji, nie ukrywają się, wszędzie ich pełno. Jak mógłbym uniknąć spotkania ich?

- Spotkałeś taką, która jest inna - odparł Rod, patrząc na niego poważnie.

Mitch odwrócił głowę i spojrzał na drzewa, jakby rzeczywiście próbował sobie przypomnieć, czy ostatnio kogoś spotkał. I, chcąc być uczciwym wobec samego siebie, starał się pomyśleć o kimś innym niż Sally.

- Może na wystawie?

- Tam?

- Szkoda, że was tam nie było.
 - Nie mogliśmy znaleźć nikogo do dzieci. Twila i Pedro znakomicie urządzili nasze stoisko. Pokazaliśmy oś z dwoma kołami, całą nową i błyszczącą.
 - Widziałem. To bardzo dobry pomysł. Prosty, ale przyciągający oko.
 - Nic tak nie przyciągało oka jak stoisko Jamisonów.
 - Z artykułami gospodarstwa domowego?
 - Nie udawaj! Przecież wiesz, że mówię o majtkach. Widzieliśmy to w telewizji i zacząłem się zastanawiać, dokąd zmierza świat, jeśli Jamisonowie pozwalają, by coś takiego reklamowało w telewizji ich sklepy.
 - A więc wiesz, że byli wstrząśnięci. Jutro rano mamy zebranie w tej właśnie sprawie. A może w gruncie rzeczy są bardziej tolerancyjni, niż myślimy. Zdziwiło mnie, że nie zażądali usunięcia tych majtek. Choć słabo ich znam, obawiałem się, że wpadną z toporkami i potną manekina na kawałki. Sprawczynię tego czynu także. Jesteś za młody, żeby się czymś takim gorszyć - dodał.
 - Moja ciężarna i pruderyjna żona siedzi tuż obok. Pat nawet nie otworzyła oczu.
 - Jestem ciężarna, ale na pewno nie pruderyjna.
 - Słucha z zamkniętymi oczami! - oznajmił teatralnym szeptem Mitch.
 - A nawet kiedy śpi. Słyszysz, co dzieje się trzy pokoje dalej, przy wszystkich drzwiach zamkniętych.
 - Czy wszystkie kobiety są takie?
 - Którą z nich się martwisz?
- Mitch spojrzał na Roda wzrokiem niewiniątka.
- Żadną - odparł.
- A Rod był na tyle niegrzeczny, że wybuchnął śmiechem.

Zjedli lekką kolację, a potem Mitch wrócił do swego pustego mieszkania. Żadnego dźwięku. Meble nieruchome. Jego życie też było puste.

Rozebrał się i wziął prysznic, a potem wyciągnął się w wielkim, nowym łóżku. Był sam.

Po chwili wstał, wyjął z ukrycia kasetę i patrzył na jedzącą i śmiejącą się Sally. Często zwalniał taśmę, a nawet zatrzymywał.

Potem wrócił do łóżka i w końcu zasnął.

W poniedziałek rano ubrał się w swój najbardziej elegancki garnitur, białą koszulę i spokojny krawat.

- Edgar Jamison prosi, żeby przyszedł pan do jego gabinetu około dziesiątej - poinformowała go sekretarka.

- Będę - kiwnął głową Mitch.

Usiadł za biurkiem i zamyślił się. Czy wyleją Sally? Prawdopodobnie. Mitch cieszył się, że usunął majtki. Nie chciałby patrzeć, jak ktoś w gabinecie Jamisonów wymachuje nimi Sally przed nosem.

Zajął się listami, a o dziesiątej zdecydowanym krokiem wszedł do gabinetu pana Jamisona.

Wszyscy Jamisonowie byli obecni. Winowajczyni także. Siedziała spokojnie i czekała.

Mitch spojrzał na zegarek. Była punkt dziesiąta.

- Przepraszam, że przychodzę ostatni - rzekł z uprzejmym uśmiechem. Pan Jamison powiedział coś o pogodzie i zapytał, czy ktoś ma ochotę na kawę. Dodał, że cieszy się frekwencją na wystawie i że wszyscy gratulowali mu pomysłu zaproszenia Heavy Weather.

- Wszyscy znakomicie się bawili - zakończył.

- Stoisko Sally było nadzwyczajne - rzekł ku własnemu zdziwieniu Mitch. - Wszyscy o nim mówili. Nawet nie przypuszczałem, że tylu kobietom przyda-

rzyło się kiedyś takie nieszczęście. Sally trafiła w dziesiątkę.

Zapadła głucha cisza.

- Dziękuję - przerwała ją Sally i uśmiechnęła się do Mitcha.

- Ciągłe napływają nowe komentarze - mówił dalej Mitch. - Dostajemy listy z całego kraju. To reakcja na wieczorne wiadomości. Wszyscy nam gratulują. Panna Yoder ma już dwie propozycje pracy. Proszę, oto kilka z tych listów.

Położył na stole trzy koperty.

Oczywiście przesadził. To były jedyne listy, jakie dostali. Ale za to jak go zdziwiły!

- Może po tym wszystkim panna Yoder powinna dostać jakąś premię - powiedział.

Sally zamrużyła powiekami i nie mogła oderwać od niego wzroku.

- No, no, no - rzekł w końcu Edgar.

Pozostali Jamisonowie odchrząknęli, ale żadnemu nie przychodziła do głowy żadna uwaga.

- No, no! - powtórzył Edgar i uśmiechnął się.

Sally spuściła głowę, by ukryć rozbawienie. Mitch zachowywał powagę. Udawał, że listy zupełnie go nie zaskoczyły.

Jamisonowie wymienili pytające spojrzenia. Zastanawiali się, jak zareagować.

- Trzeba to uczcić cygarem - rzekł najstarszy Jamison i podsunął zebrany pudełko. Sally też.

A ona je wzięła.

Mitch nie miał pojęcia, co też z nim robi.

A ona spokojnie odwinęła celofan i zrolowała cygaro między palcami. Potem ostrożnie odcięła koniuszek, Wszyscy patrzyli ze szczerym zainteresowa-

niem, kiedy przytknęła cygaro do podanego jej ognia i zaciągnęła się dymem.

Byli pod wrażeniem, dopóki się nie zakrztusiła. Odzyskali wtedy swe męskie poczucie wyższości.

Najstarszy Jamison poinformował pannę Yoder, że w kopercie z najbliższą pensją znajdzie dodatkową kwotę. Na tym zebranie zakończono.

Sally opuściła pokój przed Mitchem. Z cygarem w zębach pewnym krokiem ruszyła korytarzem. Z figlarnym uśmiechem poprowadziła go prosto do jego gabinetu. Weszli do środka i Sally zamknęła za nimi drzwi. Potem wyjęła z ust cygaro i zdusiła je w czystej, pustej popielniczce. Otarła ręką wargi, rękę wytarła w spódnice i podeszła do Mitcha. Objęła go za szyję i pocałowała w same usta.

Czuł całe jej ciało, od ust do kolan. Miał wrażenie, że głowę nagle wypełniły mu jakieś dziwne banieczki. Wątpił, czy to przeżyje.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem w biedzie - powiedziała, odsuwając się od niego po chwili. - Czy sam napisałeś te listy?

- Smakujesz cygarem - zauważył przytomnie.

- Następnym razem przepłuczę usta. Ktoś ukradł moje majteczki z francuskiego jedwabiu - dodała.'

- Co? - Był wciąż tak zaskoczony jej pocałunkiem, że bez trudu udał zdziwienie tą rewelacją.

- Te z wystawy.

- O.

- To pewnie jakiś zboczeniec.

Wcale nie!

- Co ci przyszło do głowy, żeby przyjąć to cygaro?
- zapytał, żeby zmienić temat.

- Na ułamek sekundy pan Jamison zapomniał, że

jestem kobietą. Nie miałam wyboru, musiałam je przyjąć. Odmówiwszy przypomniałabym mu, że jestem tylko osobą płci żeńskiej.

Mitch zrozumiał, co ma na myśli.

- Poparłeś mnie - powiedziała z uśmiechem.
- Zasłużyłaś na to.
- Dziękuję.
- Nie ma za co.

Przez chwilę patrzyła na niego z tym samym uśmiechem, a potem odwróciła się, otworzyła drzwi i wyszła.

Mitch usiadł w fotelu i przez dłuższy czas dochodził do siebie po jej pocałunku. Czuł, jak szybko bije mu serce. Po raz pierwszy w życiu zwrócił uwagę na rytm swego serca. Zdrowie uważał zawsze za coś naturalnego.

Poczuł zapach cygara, wstał więc, wyniósł je do łazienki i miał zamiar wyrzucić do muszli klozetowej. Nie zrobił jednak tego. Przecież to kamień milowy w życiu Sally Yoder. Pewien symbol. Każe je pokryć brązem i umieścić na plakietce, a potem jej podaruje.

Mitch zaniósł cygaro z powrotem do swego gabinetu i znalazł nadgryziony batonik w plastikowym pudełku. Wyjął go, a na jego miejsce włożył śmierdzące cygaro.

Potem wrócił do łazienki i umył ręce. Jakiś mężczyzna spojrział na niego zdziwiony. Mitch przypomniał sobie, że czytał gdzieś, iż po wyjściu z toalety myje ręce dziewięćdziesiąt procent kobiet, a tylko trzydzieści procent mężczyzn.

No tak, ale większość z nich nie ma do czynienia z cygarami.

W popołudniowej poczcie były kolejne dwa listy

dotyczące Sally. W jednym pytano o możliwość jej zatrudnienia. Mitch dał oba listy adresatce, a kopię listu z propozycją pracy najstarszemu Jamisonowi.

- Cieszę się, że przekazuje pan pocztę dotyczącą Sally Yoder mnie - powiedział pracownikowi zajmującemu się listami.

- Wydawało mi się, że pan będzie wiedział, co z tym zrobić. Nie chciałem, żeby ktoś je podarł albo próbował Sally szantażować. Myśli pan, że zostanie z nami?

- Zobaczymy. - Mitch wykorzystał ulubione powiedzonko Salty'ego.

- Warto przychodzić do pracy choćby tylko po to, żeby móc na nią patrzeć.

- Lepiej niech pan uważa. Przyłapią pana na nieróbstwie i wyrzucą, a jest mi pan potrzebny.

Mężczyzna uśmiechnął się zachwycony.

Tuż potem zajrzała do jego gabinetu Sally.

- Obiad? - zapytała.

Mitch położył palec na ustach, wstał z fotela i zamknął drzwi.

- Gdybyśmy zjedli dziś razem obiad, wszyscy byliby przekonani, że ze sobą sypiamy. - Przerwał zaskoczony samym pomysłem.

Sally kiwnęła głową.

- Jesteś bardzo sprytny. Jestem ci winna obiad.

Mógł tylko kiwnąć głową, bo nie mógł wykrztusić ani słowa. We wtorek rano przyszło siedem listów w sprawie Sally. Tylko jeden był pełen oburzenia, wrogi wobec kobiet.

Mitch nie widział powodu, by pokazywać go Sally czy panu Jamisonowi. Sam napisał formalną odpowiedź: „Dziękujemy za podzielenie się z nami pańską opinią” i wysłał ją nadawcy listu.

Po pracy Mitch zaniósł cygaro do brązownika..Ten myślał, że Mitch żartuje i, mimo zaliczki, do końca nie był przekonany, że jest inaczej.

W czwartek było czterysta trzydzieści siedem listów. Dziewięć nieprzyjemnych. W czterdziestu jeden były propozycje małżeństwa, trzy były nieprzyzwoite. Na nie Mitch odpowiedział na firmowym papierze: „Zwracam panu pański list”.

Pozostałe posłał Sally przez woźnego, dołączając zaproszenie na naradę przy obiedzie w dyrektorskim gabinecie. Wiedział, że będzie pusty.

- Dziękuję uprzejmie. Będzie mi bardzo miło - odpowiedziała.

Mitch przeczytał te napisane mocnym charakterem pisma słowa i spojrzał przez otwarte drzwi na przeciwległą ścianę korytarza. Na jasnokremowej powierzchni nie było żadnego obrazka.

Zdał sobie nagle sprawę, że Sally Yoder nie jest łatwą kobietą. Jeśli ma jakoś utrzymać tę znajomość, musi mieć coś, na co mógłby patrzeć, kiedy jest na nią zły albo zadowolony. Zadowolony?

Rozparł się wygodnie w fotelu i wyciągnął nogi. Potem podrapał się w głowę i wyobraził sobie te wszystkie sposoby, jakich mogłaby użyć, by go zadowolić.

Przy obiedzie Sally zastanawiała się nad propozycjami pracy.

Mitch był przerażony!

- Powinnaś zdobyć więcej doświadczenia.
- Pracuję tu już sześć miesięcy.
- Sześć miesięcy to kropla w morzu. Odpowiesz, że jesteś na razie związana kontraktem z nami i że skontaktujesz się z nimi za sześć miesięcy - dodał dobitnie, jakby dyktując jej odpowiedź.

- Nie mam żadnego kontraktu. Bardzo dobrze wiesz, że w poniedziałek Jamisonowie gotowi byli mnie wylać.

- Ale były listy. Są listy - poprawił się.

- Tak. I byłam w wiadomościach. Znasz takie powiedzenie: „Kuj żelazo, póki gorące”. Jestem ciekawostką na dwie i pół minuty. Za sześć miesięcy nikt nie będzie o tym pamiętał.

Miała, oczywiście, ragę.

- Nie - rzekł, nie patrząc na nią. - Naprawdę myślisz, że nie potrzeba ci więcej doświadczenia?

Popatrzyła na niego z lekkim uśmiechem.

- W czym?

Mitch zapomniał o wszystkich swych argumentach. Był w stanie myśleć tylko o tym, jak mógłby jej pomóc.

- Jedz - powiedział. - Czas się kończy.

- Na co?

- Na obiad.

- Ach tak!

A więc nic nie zostało postanowione.

W piątek Sally dostała pięćset jedenaście listów. W trzydziestu jeden były różnego rodzaju propozycje. Było też kilka wulgarnych i dwa z groźbami, na tyle poważnymi, że przekazano je FBI.

Oczywiście wszyscy zatrudnieni u Jamisonów wiedzieli, ile listów przychodzi w związku z wystawą. Właściwie w całym Fort Wayne nie było osoby, która nie wiedziałaby, ile listów dostaje Sally Yoder.

Wystarczyło tylko wziąć którąś śródowną gazetę. Poczta przynosiła listy workami, informowano. Były nawet zdjęcia. Pewnie znowu będzie w ogólnokrajowych wiadomościach!

Jedno ze zdjęć przedstawiało Sally siedzącą przy biurku zavalonym listami.

Wyglądała tak wspaniale, tak uroczo, tak kobieco, że Mitch aż jęknął na samą myśl o tym, że ta dziewczyna zyska wielu nowych wielbicieli.

Kiedy podczas weekendu Mitch odwiedził Roda, ten od razu pokazał mu gazetę.

- Czy to ta kobieta? - zapytał.

Mitch nawet nie musiał patrzeć na zdjęcie. Sam miał pięć egzemplarzy tej gazety. Był przekonany, że Rod pyta, czy to ta kobieta, która pracuje u Jamisonów.

- Tak. To ona - odparł.

- Jak idzie? Potrzebna ci jakaś pomoc?

- Pomoc? - Mitch spojrzał na brata ze zdziwieniem.

- Moglibyśmy zaprosić was na weekend.

- Między nami nic nie ma! Myślałem, że pytasz o pomoc w odpowiedziach na listy. Ona sama osobiście odpowiada na każdy. - Była to zupełnie dobra odpowiedź. Do tego momentu. - Ma wiele propozycji pracy - dodał niepotrzebnie.

- Tak?

Mitch zrezygnował z udawania obojętności.

- Powinieneś też zobaczyć te propozycje małżeńskie. Zdjęcia, życiorysy, zaświadczenia. Nigdy byś nie uwierzył.

- Oj, chyba bym uwierzył. Widziałem ją w wiadomościach.

- Jest fotogeniczna - wyjaśnił bez przekonania Mitch.

A Rod wybuchnął śmiechem.

- Nie jesteście parą - tłumaczył się Mitch. - Znaczą dla niej tyle samo, co byle woźny.

Ledwo wypowiedział te słowa, zrozumiał, że popełnił błąd. Zdradził się, że chciałby coś dla niej znaczyć.

- Wiem, że to trudne - rzekł współczująco Rod.
- Ja też robiłem wszystko, łącznie z randkami z innymi kobietami, żeby unikać Pat. Była to strata czasu.

- To nie tak. Nic między nami nie ma.
- Daj znać, jeśli będziemy mogli ci jakoś pomóc.
- Na miłość boską, Rod!
- Spokojnie, braciszku. Wiedz tylko, że cię popieramy.

- Odczep się!

- Już! Już! - rzekł Rod, ale dalej się śmiał.

Mitch stracił humor, ale trudno pozostać w takim nastroju przy dwóch małych chłopczykach, którzy nie rozumieją, że mężczyzna cierpi.

Później chłopcy zostali z Rodem, a Mitch i Pat pojechali do pewnej małej galerii, gdzie bratowa pomogła mu wybrać kilka znakomitych reprodukcji. Zapytała, gdzie chciałby je powiesić, i pokazała mu je z takiej odległości.

Zrozumiała dokładnie, o co Mitchowi chodzi. Wszystkie reprodukcje wykonane były na płótnie. Jedną z nich były „Słoneczniki” van Gogha. Ta reprodukcja miała zawisnąć naprzeciwko jego biurka. Z boku, nieco bliżej, by Mitch dokładnie widział szczegóły, będzie duża reprodukcja „Lata” Bruegla. Na ścianę w korytarzu wybrano kopię obrazu Rembrandta przedstawiającego duży wiatrak na tle nieba.

Wybrali do nich proste ramy. Właściciel miał zawiadomić Mitcha, kiedy będzie mógł je odebrać.

Bardzo potrzebował czegoś, na co mógłby patrzeć, by ukoić swą cierpiącą duszę.

Któraś dnia został dłużej w biurze i korzystając

z koparki, zrobił dwa bardzo dobrej jakości powiększenia zdjęcia Sally z gazety.

Jedno powiesił w przedpokoju swego mieszkania, żeby witała go, kiedy będzie wracał do domu. Drugie na wewnętrznej stronie drzwi szafy. Wieczorami będzie mógł otworzyć drzwi i na nią patrzeć.

Stracił już rachubę, ilu mężczyzn napisało, prosząc o spotkanie z nią. Miała też już dwadzieścia siedem propozycji pracy. A także jedną prośbę o wykład na pewnym kursie marketingu.

Zaproponowała im Mitchella Goalonga.

Przyjął propozycję, bo mu pochlebiła, ale kiedy dowiedział się prawdy, był zły, że wzięto go w zastępstwie, ale i zadowolony, że Sally uznała go za bardziej doświadczonego.

Potem zaś doszedł do wniosku, że jest po prostu zbyt zajęta odpowiadaniem na listy i nie ma czasu na wykłady.

Była teraz bardzo popularna. W pracy ciągle kręcili się koło niej jacyś mężczyźni. Już wcześniej robili to inni pracownicy Jamisonów, ale teraz byli to klienci, którzy chcieli, by to wyłącznie ona ich obsługiwała.

Mitch przeklinał dzień, w którym wpadł mu do głowy pomysł zorganizowania wystawy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Stopniowo docierało do Mitcha, że stracił znakomitą okazję, by wyrzucić z pracy Pracowitą Pszczółkę! Sama podłożyła głowę pod topór, a on co? Przekupiła kata.

Siedział za biurkiem i wpatrywał się w „Lato” Bruegla.

Marzył, by znaleźć się w tym obrazie, grabić siano, jeść obiad przyniesiony z wioski przez kobiety. Zamiast siedzieć w pozbawionym okien gabinecie i zastanawiać się nad swoim stosunkiem do Sally, mógłby leżeć tam, w namalowanym przez Bruegla cieniu, odpoczywać, trawić, patrzeć na bawiące się dzieci i kobiety, które nie protestowałyby, gdyby chciał je rozebrać.

Zamiast tego siedział przy biurku i zastanawiał się, jak pozbyć się kobiety, która nie wie, gdzie jest jej miejsce.

Czyżby był mizoginistą? Całkiem prawdopodobne. Na jakiej podstawie mógłby się uważać za mężczyznę lat dziewięćdziesiątych?

Jego zastępczy ojciec, Salty, był stuprocentowym mężczyzną, choć to on prowadził dom i gotował w domu Brownów w Tempie w stanie Ohio. Był właścicielem salonu samochodowego, ale to pozostali Brownowie, w ten czy inny sposób, się nim zajmowali.

Salty był emerytowanym wojskowym. W młodości

udowodnił, że jest prawdziwym mężczyzną. A jest lepszym kucharzem niż Felicja, która buja w obłokach i jest gwiazdą Teatru Małego w Tempie. Bez Salty'ego jest bezradna... albo stara się sprawiać wrażenie, że taka jest. Bardzo się różni od Sally, tej niezależnej kobiety. Dlaczego? Dlaczego Sally musi być taka skomplikowana?

Tempie ma jakieś dwa tysiące mieszkańców. Coś koło tego. I ta bezradna Felicja prowadzi teatr, jakby był jej własnym. Choć może rzeczywiście to jej własność. Brownowie mają więcej pieniędzy, niż ludzie myślą. Najlepszym na to dowodem jest fakt, że wszystkie ich dzieci skończyły college. Mitch studiował marketing i Brownowie za to zapłacili.

Brownowie tylko się nim opiekowali, ale go nie adoptowali. Jego rozwiedziona matka od wypadku była w stanie śpiączki: Miał także ciotkę, ale i ona była chora. Mitch odwiedzał ją czasami w jej wielkim, niszczącym domu. A kiedy zamieszkał sam, zaproponowała, by wziął sobie wszystkie meble, na jakie ma ochotę. Felicja pomogła mu dokonać wyboru.

- I tak wszystkie jej rzeczy kiedyś przypadną tobie, więc jej nie popędzaj - powiedziała. - Miło jest mieć w domu coś naprawdę dobrego. Ciotka nawet nie zauważyła braku tych mebli, a w twoim mieszkaniu będą wyglądały bardzo elegancko.

Felicja i Salty też podarowali mu kilka rzeczy do nowego mieszkania. Składany stolik karciany z czereśniowego drewna i stoliczek z marmurowym blatem znakomicie komponowały się ze starą szklaną lampą od ciotki.

- Był jeszcze stary perski dywan od ciotki, którego na szczęście nie zniszczyły stopy żadnych dzieci.

Mitch zapatrzył się na obraz Bruegla, na kobiety

usługujące mężczyznom, tak jak kobiety powinny obsługiwać. Zastanawiając się nad sposobem, w jaki on sam chciałby być obsługiwany, uświadomił sobie, że przez cały dzień nie widział Sally. Próbował wpaść na nią przez przypadek, ale zawsze była gdzieś indziej, a on nie miał pretekstu, by ją śledzić.

Powinien strzelić do niej nabojem usypiającym, porwać ją, zanieść do swego mieszkania i próbować ją rozgryźć. Tak.

Jest trochę nie z tego świata, a to może być niebezpiecznie dla firmy. I dla Mitchella Goalonga.

Dzień pracy dobiegł końca. Mitch wrócił do domu i snuł się bez celu po pokojach. Czuł się bardzo samotny.

Kiedy było się wychowanym w wielkim, pełnym dzieci domu, niełatwo było przywyknąć do samotności.

Mitch czuł się jak na obcej planecie.

Wykręcił numer Sally, owej Pracowitej Pszczółki, i wsłuchiwał się w sygnał.

Czy ma automatyczną sekretarkę? Nie. Nie jest aż tak przezorna. Mężczyzna musi dzwonić i dzwonić, i wsłuchiwać się w obojętny sygnał dźwięczący w jej mieszkaniu... czy może domu? Z adresu to nie wynikało.

No, ale przecież Sally nie będzie wiedziała, że tyle razy dzwonił. Gdyby miała automatyczną sekretarkę z taśmą pełną wiadomości od niego, wiedziałaby, jak bardzo mu na niej zależy, prawda? Prawda.

Odrzucił kilka zaproszeń. Jedno od pewnej sympatycznej, wesołej klientki. Drugie od dziennikarki z telewizji, która przeprowadziła z nim wywiad. I wreszcie od Pike'a, który wybierał się na ryby z kilkoma przyjaciółmi. Nie poszedł też na kolację do Roda i Pat.

Przyznał w końcu, że nie żyje w żadnej próżni, lecz

izoluje się, by czekać na telefon od Sally. Gdzie ona jest? A właściwie to dlaczego miałyby do niego dzwonić? Otrzeźwiająca myśl.

A telefon jednak zadzwonił. To była Sally! Prawdziwy cud.

- Czy twoje zaproszenie na 4 Lipca jest jeszcze aktualne? - zapytała, jakby to nie był żaden cud.

- Tak - wyjąkał zaskoczony Mitch.

- To dobrze. Moje plany wzięły w łeb. Marzę, żeby pójść do parku i stamtąd oglądać fajerwerki.

- Dobrze.

- Wezmę jedzenie.

- Dobrze.

- Coś nie tak?

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Naprawdę.

- Podjechać po ciebie?

- Ja podjadę po ciebie.

- Mieszkam w północnej części miasta.

- Tak.

- Skąd wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. Potakiwałem tylko.

- Rozumiem. O której?

Natychmiast! Omal nie powiedział tego na głos.

- O piątej? - zaproponowała.

- Tak.

- Dobrze. A więc do zobaczenia.

- Tak.

- Do widzenia - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Mitch stał jak wmurowany z buczącą słuchawką w dłoni. Potem wolno odłożył ją na widełki. Sally go zaczarowała. Czyżby już nie był kapitanem swego statku i panem swej duszy? Całkiem prawdopodobne. Puścił wodze wyobraźni.

Obali rząd, żeby ona mogła przejąć władzę jako Sally Pierwsza.

Całkiem możliwe.

Poczeka do poniedziałku, żeby ją o to zapytać. I dowie się, czy chce rządzić całym krajem, czy tylko jego środkową częścią.

Większość obywateli Stanów Zjednoczonych uważa, że ich kraj składa się tylko z dwóch wybrzeży rozdzielonych ogromną połacią nieużytków. Kiedy Mitch zdobędzie tę część dla Sally, upłyną lata, zanim mieszkańcy wybrzeży zorientują się, że środek kraju stał się niezależnym królestwem.

Ciekawe, czy pozwoli mu być swym małżonkiem. Może kapitanem swej gwardii? A jeśli ktoś spróbuje ją obalić, uwięzie ją do starego domu ciotki i będą żyli tam długo i szczęśliwie.

Tak właśnie żyć będzie Rod dzięki Pat.

I Mitch też tego chce. Ale tylko z Sally.

Jak to możliwe, żeby mężczyzna tak szybko zdecydował się na obojętną wobec niego kobietę? Nic nie wskazywało na to, że Sally chce, żeby obalił rząd, ustanowił dla niej królestwo czy cokolwiek w tym sensie. Sam nie wiedział, dlaczego o tym myśli.

Zapomniawszy, że odrzucił zaproszenie, Mitch zjawił się u Roda na kolacji. Zauważył znaczący uśmiech na twarzy brata i wymianę spojrzeń między nim a Pat, która lekko pokręciła głową, jakby go za coś łajała.

Tych dwoje porozumiewało się ze sobą w sposób typowy dla szczęśliwych małżonków. Tak samo było z Saltym i Felicją. Ciekawe, czy Sally też potrafiłaby to robić?

Ignorując gospodarzy, Mitch w zamyśleniu wziął na ręce dwuletniego Zeke'a i zastanawiał się, czy Sally

byłaby zdolna zrozumieć psychikę mężczyzny. Miał co do tego wątpliwości. Jest zawsze tak pochłonięta tym, co robi, że pewnie nie potrafi nawiązać tego rodzaju kontaktu.

Na przykład, kiedy urzędzała to stoisko na wystawie w Centrum Grand Wayne, cała jej uwaga była skupiona na eksponatach i tylko automatycznie odpowiadała na pozdrowienia.

Mitch postawił na ziemi Zeke'a i wziął na ręce krzyczącego Toda.

Rozmyślał dalej. Sally przechadzała się wzdłuż stoisk, żeby obejrzeć, jak radzi sobie konkurenta, i jeśli ktoś coś do niej powiedział, kiwała głową lub unosiła rękę, ale tak naprawdę nie zwracała uwagi na nic poza stoiskiem. Wszystkie jej reakcje były automatyczne.

Mitch usiadł i od razu na jego kolanach usadowili się chłopcy. Zeke zaczął przeglądać mu kieszenie. Tod zauważył to i zaczął mu pomagać.

Mitch odchylił się trochę, żeby ułatwić im dostęp do kieszeni. Uznał, że takie roztargnienie świadczy, że Sally nigdy nie będzie dobrą żoną i matką. Nie była w stanie zwracać uwagi na cokolwiek poza tym, co ją interesowało.

Dzieci zaczęły grymasić, bo kieszenie były już puste. Mitch uniósł się i z tylnej kieszeni wyjął dwie zgniecione czekoladki.

Rod chwycił je dosłownie w ostatniej chwili.

Mitch nawet tego nie zauważył.

- Mitch! - rzekł ostro Rod.
- Hm?
- Dzieciom w tym wieku nie daje się czekolady!
- Oczywiście - zgodził się spokojnie Mitch.

Pat zawołała ich na kolację.

Rod i dzieci ruszyli w kierunku kuchni. Mitch podszedł do telewizora.

- Mitch! - zawołał z kuchni Rod.
- Tak?
- Kolacja!
- Dobrze! Dobrze! - odparł i wszedł do jadalni.
- Tutaj - zawołał z kuchni Rod.
- Dobrze.

Usiadł i położył serwetkę na kolanach. Potem wsparł się na łokciach i podparł głowę rękami. W zamysleniu patrzył przez okno na ogród.

Rod podał mu talerz. Mitch postawił go przed sobą i zaczął jeść. Skończył posiłek w normalnym tempie, nieświadomy wymiany komentarzy między bratem a bratową. Skończywszy jeść, przeprosił i wstał od stołu.

Rod odprowadził go do drzwi.

- Mam nadzieję, że ją do nas przyprowadzisz
- rzekł. - Pat wydaje się, że zna Sally.
- Sally.

Mitch powtórzył to słowo jak zaklęcie, wsiadł do auta i odjechał.

Ani na moment nie przyszło mu do głowy, że zachowywał się dziwnie.

Wrócił do domu, popatrzył na jej zdjęcie w holu i włączył telewizor. Puścił taśmy z nagranyymi wiadomościami. Uśmiechał się do jej wizerunku.

Miał teraz już trzy fragmenty wiadomości z Sally. Ostatnie dwa dotyczyły ilości listów, jakie otrzymała po swym pierwszym pojawieniu się w ogólnokrajowych wiadomościach.

Wszedł do holu i stanął przed powiększonym do

naturalnych rozmiarów zdjęciem jej twarzy. Sam nie wiedział, dlaczego tam stoi, bo zdjęcie było przecież czarno-białe, a obraz w telewizji kolorowy.

Zamrugał kilka razy powiekami i zmarszczył brwi. Zrozumiał, że stoi tam dlatego, ponieważ jego anioł stróż próbuje mu przypomnieć, iż jeśli Sally przyjdzie w poniedziałek do jego mieszkania, to przecież zobaczy to zdjęcie.

Zdjął je ze ściany i przez chwilę nosił po mieszkaniu, szukając jakiegoś schowka. W końcu wsunął je pod łóżko w gościnnej sypialni.

W sobotę rozejrzał się uważnie po, swoim mieszkaniu. Było całkiem niezłe urządzone, brakowało tylko jakiegoś dywanu w jego sypialni. Jedynym dywanem w całym mieszkaniu był ów piękny pers w salonie.

Przypomniał sobie, że ktoś kiedyś mówił mu o wspaniałym sklepie z dywanami.

Nazwisko właściciela i nazwę sklepu znalazł w książce telefonicznej. Bob Anderson. Galeria Wschodnich Dywanów. Zgadza się.

Szybkim krokiem przeszedł sześć czy siedem przecznic dzielących go od galerii.

- Szukam jakiegoś ładnego dywanu do sypialni - poinformował Boba Andersona.

Właściciel pokazał mu swe skarby, wyjaśniając różnice w splocie i kolorystyce. Najwyraźniej znał się na rzeczy.

Pokój Mitcha był niewielki, wybrał więc coś niedużego, ale wyjątkowo pięknego.

W domu przeniósł persa ciotki do sypialni i pokój od razu zyskał na wyglądzie. Skarb od Andersona zaś znakomicie prezentował się na dębowej posadzce salonu. Mitch uśmiechał się z zadowoleniem.

Czy Sally zauważy zmianę? Kiedy była tu pierwszy raz, na podłodze salonu leżał stary dywan. Czy dostrzeże różnicę?

Zadzwoił później do Roda i Pat i zaprosił ich na kolację w niedzielę.

Zapomniawszy, że Sally obiecała przygotować jedzenie na poniedziałkową kolację, Mitch sam zrobił ogromne i bardzo staranne zakupy.

Był cały pochłonięty tymi przygotowaniami, kiedy o czwartej po południu w niedzielę zadzwonił Rod.

- Za godzinę jesteśmy u ciebie - powiedział.
- Wspaniale! Cieszę się, że zadzwoniłeś.

Powitał ich jak dobry gospodarz.

- Co za niespodzianka, że zadzwoniliście! Strasznie się cieszę, że możecie zostać na kolacji.

Z niezrozumiałego dla niego powodu Rod parsknął śmiechem i spojrzął na Pat. Nie wyjaśnili, co ich tak rozbawiło.

Goście byli zachwyceni jego nowym dywanem. Pochwalili gust Mitcha.

Dzieci znalazły zdjęcie pod łóżkiem w gościnnej sypialni i przyniosły je do salonu. Mitch z ogromną obojętnością schował je do szafy w holu.

Ze schowka wyjął kosz z zabawkami przeznaczonymi na taką właśnie okazję i chłopcy zajęli się nimi.

- To było znakomite zdjęcie Sally - zauważyła Pat.

Jak mogła być tak niegrzeczna, by przyznać, że zauważyła, kogo przedstawiało to zdjęcie! Mitch przecież starał się udawać, że nic się nie stało.

- Widziałam ją wczoraj - mówiła dalej Pat. - Wspomniała, że będziecie oglądać fajerwerki w parku. Może wolelibyście przyjść do nas?

- Nie - odparł Mitch. - Ale to bardzo miłe z twojej

strony - dodał, wiedząc, że taka krótka odpowiedź nie zadowoli Pat. - Może w przyszłym roku.

Rod aż się zakrztusił.

Nie wiedząc, że to, iż powiedział: „w przyszłym roku” było przyczyną zakrztuszenia się Roda, Mitch poklepał go mocno po plecach. Rod popełnił jednak błąd i spojrzał na żonę.

Teraz Pat parsknęła śmiechem.

Mitch spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Dzieci tak wspaniale się bawią - wyjaśniła.

Mitch zmarszczył lekko brwi, bo dzieci po prostu zwyczajnie zajęte były zabawkami, ale tylko skinął głową i zajął się nakrywaniem do kolacji.

Był to bardzo miły wieczór. Mitch jeszcze raz zauważył ogromne podobieństwo między Rodem i Pat a Salty i Felicją.

Dzieci Roda, Zeke i Tod, były bardzo ruchliwe, ale rodzice stale obserwowali ich zabawy. Nie pozwalali im na zbyt wielką swobodę, a robili to właściwie zupełnie niedostrzegalnie.

- Dobrzy z was rodzice - zauważył w zamyśleniu Mitch.

- Nie miałem wyboru - odparł Rod. - Trenowano mnie od chwili, kiedy przekroczyłem po raz pierwszy próg domu Salty'ego. Wiesz przecież, że tuż po mnie adoptował Mike'a i Johna.

- Ze mną też chyba było podobnie. Prawie od początku byłem odpowiedzialny za Craya i Toma.

- Miałeś Boba do pomocy.

- O Boże, ależ z nim było utrapienie. Nigdy nie pozwalał mi rządzić.

- Nadal taki jest. Salty przekazał mu pod opiekę tę

szóstkę, którą teraz mają, wiedziałeś o tym? Nawet z Tellerem sobie poradził.

- Pamiętasz Tweeda? Ciagle się zastanawiam, co się z nim dzieje?

- Zapytaj Salty'ego. Na pewno ma z nim jakiś kontakt.

- Tweed potrafił sprawiać kłopoty. - Mitch w zamyszeniu przygryzł wargę.

- Rzeczywiście. Salty bardzo długo ubolewał... że Tweed jakoś nie mógł się do nas przyzwyczaić. Że chciał być wolny i sam odpowiadać za swoje życie.

- Salty może i ubolewał, ale nie zrezygnował. Na pewno znalazł jakiś sposób. Tweed pewnie do tej pory nie wie, że Salty jest jak niewidzialny anioł stróż.

- Z takim głosem? - zaśmiał się Rod.

- Kiedy przyjechałem do Brownów, nie byłem pewien, czy dam sobie radę. Z tymi wszystkimi dzieciakami i Felicją, która też z niczym nie mogła sobie poradzić.

- To żelazna dama w szyfonie.

- W szyfonie? - zdziwiła się Pat. - Czy to odpowiednie słowo?

- Znasz Felicję.

- Tak. Masz rację - przyznała.

- Miałeś jakieś wiadomości od Tweeda? - zapytał Mitch.

- Od ponad dwóch lat nie odzywał się.

- I nie niepokoi cię to?

- Nie, bo go znam. Pewnego dnia zjawi się, jakby nigdy nic. Czasem nawet wypatruję go wieczorem na ulicy, idącego tym swoim długim krokiem.

- Skąd takie dziwne imię? - zapytała Pat.

- Sam je sobie wybrał. Salty miał tweedowy płaszcz, który szczególnie podobał się Tweedowi.

Podobało mu się też samo brzmienie tego słowa. Kiedy odchodził, wziął ze sobą ten płaszcz. Jakies dwa lata temu Salty dostał paczkę, a w niej był tweedowy płaszcz - wykrzyknął Mitch. - I krótki liścik, bez adresu nadawcy. Pamiętam to! Salty nadal nosi ten płaszcz.

- Wiem. - Rod spojrzął na swój pusty talerz.
- Salty najbardziej kocha ciebie. Ty byłeś jego pierwszym dzieckiem - rzekł miękko Mitch.
- Chciałbym, żeby Tweed wrócił. Salty ma już prawie siedemdziesiątkę.
- Tweed zrobi nam niespodziankę, zobaczysz.
- Jak myślisz, gdzie on może być?
- Bóg jeden wie. Pomyśl, co to dla niego znaczyło, wziąć ten płaszcz, a potem przysłać jakiś inny na jego miejsce. „Płaszcz honoru.”

- Tak.

Rod zauważył, że Mitch po raz pierwszy od dłuższego czasu bierze aktywny udział, w rozmowie.

- Mieliśmy szczęście, że byłeś z nami. Nauczyłeś nas wszystkich nieustępliwości.
- To nie ja, tylko Bob.
- Widzisz? - Rod uśmiechnął się do Pat.
- Nie mogę pozwolić, by kłamstwo się rozprzestrzeniło.
- Cóż za szlachetność.
- Pat, czy rozumiesz, że poślubiłaś tego mężczyznę i będziesz musiała znosić go do końca jego życia?
- Ma także ukryte zalety.
- Myślisz o seksie - westchnął Mitch.
- No, no, jak na to wpadłeś?

Mitch wskazał jej lekko zaokrąglony brzuch.

- Sama sobie tego nie zafundowałaś.

- Chcesz powiedzieć, że to dziecko wzięło się z... seksu?

Mitch wybuchnął śmiechem.

- Wytłumaczę ci to później - rzekł Rod.

- Znowu to samo - westchnęła Pat.

- Ona specjalnie tak mówi, żeby ludzie nie wiedzieli, jaki z niej demon seksu. Życie mężczyzny nie jest łatwe - dodał filozoficznie.

- Naprawdę? - zainteresowała się Pat. - Chcesz powiedzieć, że są mężczyźni, którzy się przed tym... bronią?

- Nie zauważyłaś?

Dyskutowali dalej, zbierając naczynia ze stołu. Potem zabrali dzieci i poszli, ale nie zapomnieli przed wyjściem podziękować gospodarzowi, który czuł się trochę jak kelner, co nie dostał napiwku. A może dostał?

Następnego dnia po południu pojechał po Sally, żeby przywieźć ją do siebie. Stała w drzwiach z ogromnym koszem, a Mitch pocałował ją na dzień dobry. Uśmiechnęła się i lekko zarumieniła.

Zajechali przed jego dom i zaparkowali. Mitch zaniósł kosz na górę, w mieszkaniu od razu wziął ją w ramiona i pocałował, robiąc to bardzo, bardzo dobrze. Sally nie tylko nie protestowała, ale i wykazywała sporą aktywność.

- O Boże - rzekł. - Aż niemożę uwierzyć, że tu jesteś.

Jego ciało płonęło przytulone do jej ciała, oczy lśniły gorączkowym blaskiem. Patrzyła na niego zafascynowana.

- Czy są tu jakieś rzeczy, które trzeba włożyć do lodówki? - zapytał po chwili.

- Tak. Ale obłożyłam wszystko pojemnikami z lodem. Wystarczy na wiele godzin.

- Jesteś wyjątkowa.

Uśmiechnęła się i spuściła oczy, udając zawstydzenie.

- Może wolałabyś zjeść tutaj? Jest chłodniej. Potem moglibyśmy pójść do parku i popatrzeć na fajerwerki.

- Przecież wiesz, że fajerwerki będą puszczać bardziej na północ. Koło stadionu. To dość daleko stąd. Myślisz, że siedząc wśród drzew, będziemy coś widzieć? W dodatku ławki nad stawem są w zagłębieniu.

- Zobaczymy - rzekł z tajemniczą miną.

Ciekawe, co chciał przez to powiedzieć, zastanawiała się Sally. Że będą dobrze widzieć, czy że się okaże?

- Jesteś bardzo ładna.

- Bzdura.

- Każdy mężczyzna byłby tobą zachwycony.

- Nie. Wcale mnie to nie interesuje i dlatego mogę być wyzwaniem. Zachowanie mężczyzny jest takie łatwe do przewidzenia. Każdy myśli, że jest dla kobiety darem z nieba.

- Tak. To chyba wszystko wyjaśnia.

- Więc przyznajesz, że, twoim zdaniem, jesteś mazurem każdej kobiety?

- Patrzyła na niego uważnie, czekając na odpowiedź.

- Nie rozmawialiśmy o mnie. Mówiliśmy o tobie i mężczyznach.

Jakoś udało mu się wybrnąć. Nieźle go osaczyła.

- Czy uważasz się za lepszego od innych mężczyzn?

- zapytała.

- Jestem tylko obserwatorem.

Nie mogła się nie zaśmiać. Wiedziała jednak, że ten mężczyzna jest inny. Dla takiej jak ona kobiety niebezpieczny, bo przy nim traci czujność i traktuje go jak istotę ludzką.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mitch zdrzął, uświadamiając sobie, że jest tylko mężczyzną. A co gorsza - ona tak atrakcyjną kobietą.

Był jednak człowiekiem na tyle cywilizowanym, by przybrać niewinny wyraz twarzy.

Ale ona nie była głupia. Od razu wyczuła niebezpieczeństwo. A jednak została. Tylko że to ona panowała nad sytuacją. Nie wzięła go za rękę i nie poprowadziła do sypialni.

- Gdybyśmy mieli ogromne lustro, powiedzmy szerokości piętnastu... nie, raczej trzydziestu metrów, moglibyśmy ustawić je pod odpowiednim kątem i wtedy oglądalibyśmy w nim fajerwerki. Żadne domy ani dachy by nam nie zasłaniały widoku.

- Ty naprawdę nie wierzysz, że w parku uda się nam coś zobaczyć.

Sally uśmiechnęła się.

- Jest takie powiedzenie „wy małej wiary” - przypomniał sobie Mitch i zrobił krok w jej kierunku.

Sally uniosła głowę. W jej oczach pojawiły się wesołe, przekorne błyski.

- My.

Wtedy zadzwonił domofon.

Mitch skrzywił się. I czekał.

Sally wskazała drzwi i uniosła brwi. Mitch położył palec na ustach.

Kolejny dzwonek.

- Mitch? Przyniosłem ci ryby! - rozległ się męski głos.

Mitch wiedział, że Pike tak łatwo nie zrezygnuje.

- Wejść do sypialni - szepnął. Wziął ją za ramię i wyprowadził z salonu. - Zamknij za sobą drzwi.

- To Pike.

- Bądź cicho.

Sally weszła do sypialni Mitcha, zamknęła drzwi i rozejrzała się. Zauważyła, że przeniesiono tu dywan, który tak bardzo jej się podobał. Popatrzyła na obrazy, zastanawiając się, na ile mieszkanie odzwierciedla osobowość Mitcha. Potem otworzyła drzwi szafy... i zobaczyła zdjęcie.

Patrzyła na nie przez minutę, czując jednocześnie zdziwienie i złość. Poczuła jeszcze coś, czego nie potrafiła określić. Potem delikatnie zamknęła drzwi szafy, podeszła do okna i nie widzącym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń. Słuchała, jak Mitch rozmawia ze swoim gościem, najpierw w kuchni, potem w salonie.

- Przepraszam, że cię popędzam - mówił Mitch.

- Masz gościa? - dotarł do sypialni głos Pike'a.

- Nie. Właśnie wychodziłem.

- Odprowadzę cię do auta.

- Jeszcze nie jestem gotowy. Mam kilka rzeczy do zrobienia.

- Mógłbym skorzystać z toalety?

- Przepraszam cię, ale właśnie tam sprzątałem i jest straszny bałagan.

- Rozumiem.

- Dzięki za rybę.

- Nie ma sprawy.

- No to do jutra.

- Tak. Jasne. Mitch, a może wpadłbyś, żeby obejrzeć z nami fajerwerki? Miejsca jest dosyć. Oczywiście, jeśli nie masz innych planów.
- Wybierani się do brata.
- To dobrze. Nie chciałbym, żebyś spędzał ten dzień sam.
- Dzięki, Pike.
- Do jutra.
- Cześć.
- Mam nadzieję, że ryba będzie ci smakowała.
- Na pewno.
- No to idę.
- Do widzenia.

Pike w końcu wyszedł.

Mitch zamknął za nim drzwi. Poczekał, aż zaskrzypi automat w drzwiach frontowych i ruszył ku sypialni, w której ukryta była Sally... Nagle przypomniał sobie o schowanym w szafie zdjęciu. O Boże!

Wolno podszedł do drzwi i lekko zastukał-.

- Sally?

Nie podeszła do drzwi. Mitch zadrżał. Leży tam naga, wyciągnięta na jego łóżku i czeka. Odetchnął głęboko i skarcił się w myślach za własną głupotę.

Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi sypialni, zobaczył puste, porządnie posłane łóżko i od razu spojrzął na szafę. Drzwi były zamknięte. Wtedy popatrzył na Sally.

Stała przy oknie, tyłem do niego, i patrzyła na ulicę.

- To był Pike.
- Słyszałam.
- Chciał skorzystać z łazienki.
- Masz przecież dwie.
- Nie chciałem, żeby dowiedział się, że tu jesteś.

Sally odwróciła się.

- Słyszałam.
- Pike nie umie trzymać języka za zębami.
- To prawda.
- W obecnej sytuacji lepiej będzie, jeśli nikt nie dowie się, że spotykamy się po pracy.
- Rozumiem.

Stali twarzami do siebie, on w drzwiach sypialni, ona przy oknie.

- Co rozumiesz? - zapytał ostrożnie.
- Że znajomość ze mną jest dla ciebie kłopotliwa.
- Jako bliską znajomą trudniej byłoby mi cię chronić. Jako współpracownicę, owszem.

Nie spuszczał z niej wzroku, ruszył wolno w jej kierunku.

- Sally.

Spojrzała na niego chłodno.

- Mitchell. A może powinnam powiedzieć: „panie Goalong”?

Mitch odetchnął głęboko i wsunął ręce do kieszeni.

- Zaraz cię uduszę.
- Typowo męska reakcja.
- A jak mogłoby być inaczej. Przecież jestem mężczyzną.

- Zauważyłam.

- I?

Uśmiechnęła się leciutko, ale nie odpowiedziała.

Wyjął więc ręce z kieszeni, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Otoczył ją ramionami, trzymał mocno, oszołomiony faktem, że oto Sally jest tak blisko niego. A jeśli ją straci? Stał się bardzo zaborczy w stosunku do tej kobiety, której ręce spoczywały na jego ramionach,

a miękkie ciało przylegało do jego ciała. Pragnął jej jednak w jakiś inny, nowy dla niego sposób.

Oczywiście chciał się z nią kochać, ale nie było to zwykłe pożądanie czy ciekawość. Pragnienie, które odczuwał, było zupełnie inne.

Dlaczego jej ciało jest takie wspaniałe? Dlaczego jej usta są takie wyjątkowe? Dlaczego uważa ją za najpiękniejszą z kobiet? -Przypomniał sobie, że kiedyś wydawała mu się przeciętna. Ależ był głupi.

Zrobił więc jedyną rzecz, jaka mu przyszła do głowy: pocałował ją z całą mocą swej tęsknoty. Jego ramiona obejmowały ją z czułą gwałtownością prawdziwego pragnienia. Drżał, a jego usta były delikatne i chciwe.

Jego mięśnie i kości były jak ze stali. Kiedy jęknęła, zaniepokoił się.

- Robię ci krzywdę?
- Jeszcze nie - szepnęła.

Oblała go fala gorąca i zadrżał. Zrozumiał, że musi ją puścić, zanim zrobi coś, czego oboje będą żałować. Spróbował. Odchylił głowę i odetchnął z wysiłkiem, ale nie mógł jej puścić.

Sally poruszyła się lekko, jakby chciała się wyswobodzić. Nie podobało mu się, że po takim pocałunku jest jeszcze w stanie nad sobą panować. Nadal patrzył na nią gorąco, a w żyłach czuł ogień.

- Dlaczego masz moje zdjęcie w szafie? -zapytała.
- Żeby odstraszać myszy czy inne kobiety?

Powiedział pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy.

- Myszy.
- Myślisz, że jestem kotem?
- Pszczołą.

- Odsunęła się na tyle, by móc mu spojrzeć w twarz.
- Czy wszystkie pszczoły całujesz w ten sposób? To cud, że nie jesteś cały pogryziony.
 - Jestem, tylko tego nie widać.
 - Mężczyzna, który całuje tak jak ty, musi mieć ogromne doświadczenie.
 - Jesteś pierwszą kobietą, której pragnę.
 - Akurat!
- Mitch powoli odzyskiwał równowagę.
- Jak możesz być tak opanowana, kiedy ja czuję się jak wrak? Czy po to atakujesz mężczyzn, żeby patrzeć, jak doprowadzasz ich do takiego stanu?
 - Oczywiście, że nie. Nigdy...
- Mitch milczał. Kiedy nie kontynuowała, leciutko wzmacnił uścisk.
- A więc eksperymentowałaś? To igranie z ogniem. I to nie na niby.
 - Wcale nie. Miałam tylko ochotę na pocałunek.
 - Mogę dać ci więcej.
 - Ależ z ciebie rozpustnik! Podejrzewam, że unieszczęśliwiłeś wiele kobiet. Niewykluczone, że nawet musiałeś opuścić jakieś miasto z tego powodu. *
 - Nie. Jestem porządnym człowiekiem.
 - Całujesz jak szaleniec.
 - Jeszcze nigdy w życiu tak się nie całowałem. To wszystko przez ciebie - mówił bardzo poważnie.
 - Pocałuj mnie jeszcze raz.
 - Nie mam zamiaru. Wolę unikać kłopotów.
 - To ja byłem w tarapatach. Ty cały czas panowałaś nad sobą.
 - Wcale nie. Byłam przerażona.
 - Naprawdę?

- Chyba nie powinnam ci tego mówić.
 - Ależ tak. To dobrze wiedzieć, że nie tylko ja odczuwałem pokusę.
 - Wcale nie chciałam cię kusić.
 - Czy dlatego wspomniałaś o tym zdjęciu, żeby mnie zdenerwować?
 - Tak.
 - A co robiłaś w mojej szafie?
 - Chciałam zobaczyć, czy masz w niej porządek.
- Mitch zaśmiał się i przyciągnął ją bliżej do siebie.
- Puść mnie.
 - Za chwilę.
 - Musimy uważać.
 - Dlaczego?
 - Bo oboje jesteśmy wrażliwi.
 - Tak - szepnął Mitch, przymykając oczy.
 - Musisz mnie puścić.

Przez dłuższą chwilę Mitch musiał przekonywać samego siebie. Nie było to łatwe, w końcu jednak zaczął ją wypuszczać z objęć. Bardzo powoli.

- Boże, jaki jestem obolały.
- Staraj się myśleć o czymś innym.
- Typowo kobiecy pomysł -jęknął.

Przypomniała sobie, że niedawno powiedziała mu, że jest typowym mężczyzną. Bo jest. O, tak.

- Jesteś głodny? - zapytała, by skierować jego uwagę na inne tory.

Zaśmiał się i szepnął:

- Ale nie mam ochoty na jedzenie.
- Staram ci się pomóc.
- To właściwa postawa. Pokażę ci, jak to zrobić.

I znowu przyciągnął ją do siebie i całował z niepohamowaną gwałtownością.

Sally jęczała i wbijała mu paznokcie w ramiona. W końcu musiał ją podtrzymać.

- Przepraszam, dziecko, ale nie mogłem pozwolić, bym tylko ja był obolały.

- Wiedziałam! Zrobiłeś to specjalnie!

Mitch uśmiechnął się. Jego oczy płonęły. Puścił ją jednak i przestał kusić.

- To nie było ładnie z twojej strony.

- Wiem.

- Chyba powinniśmy pójść do twojego brata, jak powiedziałaś Pike'owi.

- Naprawdę?

- Proszę.

- Nie wiedziałem, że jesteś tchórzem.

- To nie tchórzostwo, tylko ta nadmierna wrażliwość, o której wspomniałam.

- Jeśli rzeczywiście tak na ciebie działam, to dziwię się, że potrafisz w tej sytuacji myśleć logicznie.

- Staram się.

- Czy masz jakieś ubranie, które jest bardziej dziecioodporne niż to?

- W domu.

- Nie możemy tam pojechać. O tej porze wszędzie będą straszne korki. Zobaczmy, może któraś z moich rzeczy będzie na ciebie pasowała.

Otworzył szafę. Oprócz ubrań było tam oczywiście i jej, zdjęcie.

- Patrzą na ciebie przed zaśnięciem.

Milczała.

- I wcale mnie nie odpychasz. Mięknieś w moich ramionach i kochasz mnie.

- Możliwe.

Przerwał i spojrzał na nią.

- Możliwe?
 - Gdybym ja miała twoje zdjęcie w mojej szafie, pewnie i ty bybyś uległy.
 - Zmaterializowałbym się i wskoczył ci do łóżka.
 - Nie sądzę. Bybyś bardziej opanowany.
 - Masz, przymierz to.
- Były to spodnie dresowe, ściągane w pasie sznurkiem.
- Będą dobre - powiedziała, przyłożywszy je do siebie.
- Wyjął kilka koszulek i pozwolił jej wybrać jedną z nich.
- Będę patrzył, jak się przebierasz - powiedział.
 - Nie.
 - Musisz być otwarta na nowe przygody. Powinnaś doceniać nowe pomysły. Powinnaś...
 - Powinieneś wziąć koszyk i zadzwonić do brata.
 - Telefon jest tutaj - odrzekł z uśmiechem.
 - W kuchni jest drugi.
 - Jesteś spostrzegawcza.
 - Pewnie.
 - Pójdę do kuchni i będę patrzył, jak się rozbierasz.
- Sally rozejrzała się dokoła.
- W jaki sposób?
 - Oczami wyobraźni.
 - Zajmij się czymś innym.
 - A po co?
 - Bo tak będzie lepiej - powiedziała z powagą. - Za mało się znamy, żeby posuwać się aż tak daleko.
- Mitch uśmiechnął się i przygryzł wargę.
- Ruszaj, panie Goalong.
 - Popatrz na to wspaniałe łóżko.
 - Wygląda całkiem zwyczajnie.
 - Jest bardzo wygodne. Chodź i przekonaj się.

- Kto ci pisze teksty?
- Ty mnie do tego inspirujesz.
- Idź zadzwonić do brata.
- Nie trzeba ci pomóc rozpiąć guziki?
- Nie, ale dziękuję za dobre chęci.
- Zdjąć pończochy?
- Dam sobie radę.
- Ja też. To znaczy, mógłbym się wiele dzięki temu nauczyć. Byłbym bardziej doświadczonym mężczyzną.
- Ruszaj!
- Pocałuj mnie na pożegnanie.
- Idziesz tylko do kuchni zadzwonić do brata.
- Będę i tak za daleko od ciebie.
- Cóż za romantyczny tekst!
- To prawda.
- Bzdura.

Wiedział, że to prawda, i sam był tym zaskoczony. Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Sally z nieruchomą twarzą stała przy oknie. Zmarszczyła brwi, a w jej głowie kłębiły się myśli. Spojrzała na kuszące łóżko i zacisnęła usta. Potem podeszła do drzwi, zamknęła je na klucz i zaczęła się rozbierać.

Rod i Pat byli zachwyceni, że zjawili się niespodziewani goście. Czoro dorosłych i dwoje maluchów powędrowało do pobliskiego parku. Przez jakiś czas Sally prowadziła za rękę trzyletniego Toda, potem jednak Rod wziął go na plecy, dźwigając koszyk i składane krzeselko.

Sally spojrzała na Mitcha, który niósł Zeke'a, koc i kosz. Mężczyźni są rzeczywiście silniejsi od kobiet. Ona i Pat niosły zaledwie lekkie krzeselko.

W tym roku organizatorzy świątecznej imprezy podzielili jej uczestników na trzy grupy. Pierwsza

grupa, do której należeli Brownowie, na ogólną ucztę dostarczyć miała jarzyny. Druga grupa przygotowała sałatki, a ostatnia desery.

Napotkani ludzie witali Roda i Pat jak dobrych znajomych. Dopiero wtedy Mitch uświadomił sobie, od jak dawna już brat mieszka w tej okolicy. Spojrzał na Sally, zastanawiając się, czy...

Wtedy ktoś zawołał ją po imieniu. I jeszcze ktoś. Wołający spoglądali na Roda i Mitcha. Obaj nieśli dziecko, trudno więc było przypisać ją któremuś z nich.

Mitch stanął obok Sally. Czyżby manifestował swoje prawa? Nie, rozstrzyga tylko ich wątpliwości.

Cała grupa wybrała w końcu odpowiednie miejsce. Mitch rozłożył na ziemi koc i wszyscy na nim usiedli. Rod i Pat od dawna mieszkali w tej okolicy i nie była to ich pierwsza sąsiedzka impreza. Co prawda dla Roda dopiero druga, ale wszyscy traktowali go jak starego znajomego. Interesowali się także dziećmi.

Mitch wiedział, jakie życie miał Rod ze swoją zmarłą żoną, Cheryl. Choroba tej biednej kobiety odizolowała ich od ludzi. Sąsiedzi jednak zawsze darzyli Roda sympatią. Cała rodzina Brownów wiedziała, jacy serdeczni byli dla niego po śmierci Cheryl.

Mitch posadził Zeke'a obok Toda, pomiędzy Pat i Rodem. On i Sally siedzieli nieco z boku. Wydawało mu się, że jest bardzo sprytny i potrafi dać coś obserwatorom do zrozumienia. Nie zauważył, że Rod i Pat wymienili spojrzenia i z trudem powstrzymywali śmiech.

Później Mitch nie był już taki subtelny. Po jedzeniu pomógł w sprzątanii, a potem wziął Sally za rękę i pomógł jej wstać. Stojąc obok siebie, czekali, aż zrobi się ciemno i zaczną się fajerwerki.

Mitch cieszył się, kiedy damskie głosy wołały coś do Sally, na męskie reagował niechęcią.

Cały czas trzymał ją za rękę.

A ona wcale nie próbowała wyswobodzić się z jego uścisku.

Kilku mężczyzn pytało, czy jej numer jest w książce telefonicznej. Potwierdziła. Nie uśmiechnęła się jednak i nie zaproponowała, by któregoś dnia zadzwonili.

Mitch stał w milczeniu i nie uśmiechał się ani nie włączał do rozmowy. Patrzył tylko groźnym wzrokiem.

- Zachowujesz się jak człowiek pierwotny - zauważyła w pewnym momencie Sally. - W której jaskini się urodziłeś?

- W Ohio. Kiedyś cię tam zabiorę.

- Nie muszę jej oglądać na własne oczy. Wystarczy, że wiem, iż się nie myłę.

- Nie zdziwiło cię to?

- Nie.

- Dlaczego?

- Byłam po prostu pewna. Nigdy jeszcze nie widziałam takiej kwintesencji męskości.

- Bo chciałem wziąć cię do łóżka?

- Bo starasz się, by wszyscy wokoło myśleli, że jesteśmy parą. Ściskasz mi palce aż do bólu za każdym razem, kiedy jakiś męski głos wymawia moje imię.

- Naprawdę?

- Tak.

- Czyżby? - Była tyle bezczelny, by udać zdziwienie. Uniósł jej dłoń i dokładnie obejrzał palce.

- Nie widzę żadnych trwałych obrażeń.

Sally westchnęła głośno i spojrzała w niebo. Mitch wybuchnął śmiechem.

Obeszli cały teren. Spotkali po drodze chyba wszys-

tkich zgromadzonych. Kiedy wrócili do Roda i Pat, nikt już nie miał wątpliwości, z kim jest Sally. Wszyscy też wiedzieli, że ten szczęściarz jest bratem Roda Browna i nazywa się Mitchell Goalong.

Zadowolony z siebie Mitch usiadł na kocu obok brata i jego rodziny. Zrobiło się ciemno, w parku zgasły wszystkie światła i zaczęły się fajerwerki.

Obudzeni przez rodziców mali Brownowie patrzyli z zachwytem w niebo. Mitch wyciągnął się na kocu i przyciągnął do siebie Sally. Jej głowa spoczęła na jego ramieniu. Miał nadzieję, że nikt tego nie zauważył, bo wszyscy przecież podziwiali sztuczne ognie.

Po pokazie wszyscy wrócili do domu Roda.

Oczywiście był to dom Pat. Od ich ślubu dom Roda stał pusty. Oba budynki dzielił jedynie trawnik.

Dzieci zostały wykapanie i położone do łóżek. Dorośli powiedzieli im dobranoc i goście wyszli.

Mitch był sprytnym i przewidującym mężczyzną, więc Sally musiała najpierw pojechać do niego, żeby zabrać swoje jedzenie.

- Sam tego wszystkiego nie zjem. Mało byvam w domu - powiedział.

- Podzielimy się.

- Możemy zjeść to wszystko jutro i pojutrze razem.

Spojrzała na niego z naganą. Zaproponował to dopiero wówczas, kiedy byli już w jego mieszkaniu.

- Mogę przynieść ci obiad na następne kilka dni.

- Nie. - Mitch pokręcił głową. - Nawet gdybyśmy zjedli razem gdzieś na ławce w parku, co najmniej pięćdziesiąt osób by to zauważyło.

- Może pomyśleliby, że spotkaliśmy się, żeby omówić sprawy służbowe, przede wszystkim moje bulwersujące niektórych zachowanie?

- Za późno. Wszyscy już do ciebie przywykli.
 - Naprawdę?
 - Odkąd przychodzi już trochę mniej listów, spadłaś na drugie miejsce w kategorii osób najbardziej obmawianych.
 - Musimy wymyślić coś, co przywróci mi tę utraconą pozycję.
 - Błat mojego biurka?
 - Jest pokryte szkłem, łatwo się z niego zsunąć.
 - W pewnym filmie zsunęli się nawet z łóżka.
 - To bardzo ciekawe, że akurat to ci się od razu przypomniało!
 - No, cóż, nie wpadł mi do głowy żaden inny powód wyjaśniający akrobacje na blacie mojego biurka i zsuniecie się z niego.
 - Miałam na myśli jedzenie.
 - Powiedziałaś to tak lubieżnym tonem.
 - Nic podobnego!
 - Dlaczego jedzenie miałoby zsunąć się z biurka?
 - Coraz trudniej się z tobą rozmawia. Pójdę już. A, przecież musisz mnie odwiedzić.
 - O co ci chodzi?
 - Czyż nie czekasz, żebym już sobie poszła?
 - Tak bardzo cię pragnę, że tracę zmysły.
- Sally uniosła do góry rękę.
- Przecież my się nawet nie znamy.
 - Poznamy się w trakcie... - uspokoił ją Mitch.
 - Czy taki scenariusz kiedykolwiek ci się sprawdził?
 - Do tej pory, nie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W kuchni Mitcha Sally szybko wyjęła z koszyka jedzenie, które miało zostać u niego. Dla siebie odłożyła tylko trochę.

- Najdroższa - zaprotestował Mitch, rozkoszując się smakiem tego słowa. - Nie dam rady tego zjeść.

Sally wyprostowała się, spojrzała na niego i zacisnęła usta.

- Wydawało mi się, że mamy to zjeść razem. Ja tyle nie jadam.

- Możesz to tu zostawić, ale przysięgnij na swój honor, że przez cały tydzień co wieczór będziesz wracała ze mną do domu i pomagała mi to jeść.

Sally spuściła powieki, by ukryć radość. Przyglądała się swym palcom i zastanawiała się, co powiedzieć. Zebrała się na odwagę. Uniosła głowę i kilka razy pokiwała nią leciutko, zanim przez ściśnięte gardło udało jej się wyjąkać jedno słowo.

- Dobrze.

Mitch odprężył się i nawet zdobył się na uśmiech.

- Ale żadnych sztuczek - zastrzegła.

W jego szeroko otwartych oczach malowało się udawane oburzenie.

- Ależ skąd.

- To tylko po to, żeby jedzenie się nie zmarnowało.

- Oczywiście.

- I nie będziesz mnie uwodził.
- Nigdy. Tylko jeden pocałunek na dobranoc - dodał.

- Za... zastanowię się.

O tak. O tak.

- Czegóż więcej może pragnąć mężczyzna.

Spojrzała na niego spod oka.

Na jego twarzy malowała się szczerłość.

Zaniósł koszyk na dół do auta i postawił go na podłodze obok tylnego siedzenia. Potem pomógł jej wsiąść. Ruch uliczny prawie zamarł. Domy były pogrążone w ciemności, ulice wyludnione. Sally czuła się trochę nieswojo.

Zauważyła, że choć Mitch rozejrzał się dokoła, nie wyglądał ani trochę na zaniepokojonego. Obszedł auto i usiadł za kierownicą.

- Popatrz, jak puste są ulice - powiedziała.

- O tej porze nigdy nie ma ruchu.

- Niebezpieczne jest wychodzić z domu o tej porze.

- Skądże.

- Przecież czytam gazety.

- Wszędzie krążą patrole policyjne.

- Czy spacerujesz czasem nocą?

- Biegam.

- To raczej nierozsądne.

Mitch rozłożył ręce.

- Wszędzie jest tak samo.

- Wcale mi się to nie podoba.

- Co... takiego?

- Że wychodzisz na ulicę w nocy.

- Jest spokój, o tej porze nie ma na niej żadnych ludzi.

- Ale mogą być.

Mitch był poważny, ale delikatny.

- Nie można ciągle myśleć o czymś, co może się zdarzyć.

- Nie można też być głupim.

- Martwisz się o mnie?

Sally spoważniała i lekko przechyliła głowę.

- Zobowiązałam się, że przez kilka najbliższych dni będę pomagać ci w zjedzeniu tego wszystkiego, co jest w twojej kuchni. Postanowiłam, że zaoszczędzone w ten sposób pieniądze wydam na ten brązowy kostium z wystawy, więc jeśli coś ci się stanie, będę musiała jeść w domu i z kostiumu nici.

- Rozumiem.

Sally zaśmiała się.

- Nigdy nie czułem się taki... niepotrzebny.

- Chodzi o jedzenie - potwierdziła Sally.

- Mógłbym ci dać klucz i mogłabyś sobie wchodzić sama i zjadać swoją część.

- A jak mogłabym wówczas dawać ci te pocałunki na dobranoc, których się domagałeś?

Obdarzył ją najdziwniejszym spojrzeniem, jakie w życiu widziała.

- Mógłbym odebrać je wszystkie razem ostatniego wieczora, kiedy będziesz mi oddawać klucz.

- Właściwie to dobry pomysł - zgodziła się.

Zajechali przed jej dom. Wokoło było cicho, na ulicach pusto. Mitch wysiadł i obszedł auto, rozglądając się dokoła. Otworzył drzwi i podał jej rękę.

Sally wysiadła i stanęła w milczeniu.

Mitch wyjął kosz.

- Rzeczywiście pusto jest na tych ulicach.

- Tutaj też spotyka się patrole - powiedziała, ruszając ku drzwiom. - Mamy nawet specjalną straż sąsiedzką, która co noc objeżdża okolicę. Jestem jej członkiem.

- Kto z tobą jeździ? - zapytał ostrym tonem.
 - Różni ludzie.
 - Kto?
 - Dam ci listę.
- Stanęli przed drzwiami.
- Poproszę o pocałunek - powiedziała.
- Sally otworzyła drzwi i weszła do środka. Mitch za nią.
- Chyba już cię kilka razy dzisiaj całowałam - zauważyła.
 - Jeszcze nie.
 - O ile pamiętam - zaczęła, odwracając się ku niemu.
- Mitch nie chciał z nią dyskutować, pragnął trzymać ją w objęciach i całować. I właśnie to zrobił. Było to coś niesamowitego.
- Ich ciała przyłgnęły do siebie. Czuli zbliżające się niebezpieczeństwo. Oderwali się więc od siebie i stali oszołomieni. Oddychali ciężko. Mitch lekko drżał. Sally uchwyciła się framugi.
- Kim jesteś? - zapytał ochryple Mitch.
 - Sally Yoder - udało jej się wykrztusić. Przecież wie, kim jest. Dlaczego pyta? - A bo co?
 - Kto sprowadził cię na tę planetę, byś spowodowała taką katastrofę ekosystemu?
 - To nie ja, to ty!
 - Jesteś niebezpieczną kobietą.
 - Nie przyjdę jutro na kolację.
 - Nie próbuj mnie przechytrzyć.
 - Ależ...
- Drugi pocałunek przerwał tę rozmowę. Był jeszcze gorszy. Lepszy. Zdumiewający.
- Sally złapała się za głowę i jęknęła.
- Nie. Nie rób tego więcej.
 - Czego?

- Nie całuj mnie tak, bo nie ręczę za siebie.

Więc pocałował ją znowu, ale nie w usta. Całował jej policzki i nos, i czoło, i brodę, i miejsce za uchem. Były to bardzo delikatne pocałunki i bardzo podniecające.

Sally z trudem oddychała.

- Do zobaczenia rano - rzekł bezlitośnie i wypuścił ją z objęć.

Stała tam, gdzie ją zostawił. Mitch sprawdził jeszcze drzwi i ostrożnie je zamknął.

Wsiadł do auta i wrócił do siebie. Włożył strój sportowy i wyszedł pobiegać. Policjanci byli już przyzwyczajeni do tego widoku, nie zwracali więc na niego uwagi.

Następnego ranka, starannie ubrany i gładko ogolony, zajechał przed dom Sally, by zabrać ją do pracy.

- Co ty tu robisz? - zdenerwowała się.

Mitch uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Po prostu chcę cię podwieźć.

Chciała go odsunąć, by zamknąć mu drzwi przed nosem.

- Nie bądź idiotą. To ty sam mówiłeś, że nikt u Jamisonów nie powinien wiedzieć, że spotykamy się poza pracą. A teraz chcesz, żebyśmy zjawili się w firmie razem!

- W takim razie...

- Do zobaczenia wieczorem u ciebie. Na kolacji - dodała i zamknęła drzwi.

Kobiety są naprawdę dziwne, myślał, jadąc samotnie do firmy.

Był bardzo zajęty i przez cały dzień jej nie widział. Nawet nie zauważył, kiedy minął dzień, i z ochotą wrócił do domu.

Sally spóźniła się.

Prawie już stracił nadzieję, kiedy zadzwonił dzwo-

nek. Nacisnął guzik domofonu i zszedł po schodach, żeby ją powitać.

Była zgrzana, zmęczona i trochę zła. Wprowadził ją do mieszkania i zaprosił do kuchni. Podał jej kieliszek wina.

- Siadaj - powiedział. - Wszystko przygotowałem. Nie protestowała. Usiadła i sączyła wino.

Podał to, co najszybciej mogło ulec zepsuciu: sałatkę ziemniaczaną i surówkę z kapusty. Dokupił dwa ogromne steki i, przewidując, ten przeznaczony dla niej smażył nieco dłużej. Do tego podał bułki, pokrojone, posmarowane masłem i obficie posypane parmezanem.

Sally jadła w zamyśleniu.

- To był okropny dzień - powiedziała w końcu.
- Dlaczego? - zapytał z zainteresowaniem.
- Nawet nie wyobrażasz sobie, jacy Jamisonowie są zacofani.

Mitch przez chwilę udawał, że się nad czymś zastanawia.

- Od dawna ich o to podejrzewałem. A cóż takiego dziś zrobili mojej Pracowitej Pszczółce?

- Na stelażu przy wejściu umieściłam po jednej sztuce każdego wyrobu, który można kupić w dziale odzieży damskiej. Czerwony pantofel na wysokim obcasie wisiał na samej górze. W rogu czarny żakiet na jedwabnej podszewce. Wystawał z niego rękaw bluzki. Poniżej rąbek koronkowej halki. Był też męski kapelusz. I Jamisonowie go usunęli. Zrzucili mi, że demonstruję towary z innych działów.

- Przecież to był genialny pomysł! - wykrzyknął Mitch. - Czy wiesz, że to ja jestem twoim bezpośrednim przełożonym? Że powinienem opiniować twoje pomysły? Ten jest znakomity i udzielam ci stuprocentowego poparcia.

Sally uniosła w górę kciuk.

- Dziękuję!

To słowo nieco otrzeźwiło Mitcha. Powinna jednak wszystko przedtem z nim uzgodnić, to on jest przecież specjalistą od marketingu.

- Widzę, że jesteś bardzo pomysłowa - zauważył sucho. - Następnym razem jednak najpierw zgłoś się do mnie.

- Ciągle zapominam, że właśnie po to jesteś w naszej firmie. Przepraszam cię. Następnym razem wszystko z tobą omówię.

„Omów z nim wszystko następnym razem”. Co to znaczy? Czyżby nie miała zamiaru zrezygnować ze swych dzikich pomysłów? Musi ją jakoś utemperować.

Sally skończyła ostatni kawałek bułki i westchnęła z zadowoleniem.

- Jeszcze nigdy nie jadłam takiej wspaniałej kolacji - powiedziała z uśmiechem.

- A ja miałem cudowne towarzystwo.

- Byłeś bardzo miły. Nie mówiłeś za dużo i nie gderałeś.

- Umiem nad sobą panować.

Sally zaśmiała się.

Traktowała go jak gospodarza. Może to nie był najlepszy pomysł, żeby zaprosić ją do siebie i poczęstować kolacją. Chciał przecież czegoś zupełnie innego.

- A teraz poproszę o mój pocałunek - powiedział.

Popatrzyła na niego uważnie.

Więc może jednak się mylę, pomyślał Mitch. Może ona rozumie, że jestem przede wszystkim mężczyzną. Wstał, a Sally zaczęła zbierać ze stołu naczynia. Mitch patrzył i cierpliwie czekał.

Kiedy kuchnia była już uporządkowana, jedzenie

schowane, a naczynia w zmywarce, Sally wzięła torebkę i powiedziawszy „dobranoc” ruszyła ku drzwiom.

Mitch miał dłuższe nogi i dłuższe ręce. Zatrzymał ją w progu salonu i przyciągnął do siebie. Pocałował ją. Usłyszał stuk torebki padającej na podłogę i ręce Sally otoczyły jego szyję.

Jej miękkie piersi spoczywały na jego żebrach, jego twarda męskość przyciśnięta była do jej brzucha.

Mitch przerwał pocałunek i odsunął usta. Spojrzał na jej przymknięte oczy i rozchylone wilgotne wargi.

Wiedział, że powinien puścić ją, więc pocałował Sally znowu.

Jej wargi z trudem wypowiadały słowa.

- Pu... puść mnie.

Cichutko, z wahaniem.

Mitch lekko rozluźnił uścisk, zdziwiony, że jest w stanie to zrobić. A wtedy ona uniosła usta do następnego pocałunku! Naprawdę!

A więc znowu ją pocałował. Było jeszcze gorzej. Totalny chaos.

- Muszę iść. Pomóż mi.

Pomóc jej? Jak?

Dała mu do zrozumienia, że chce, żeby wypuścił ją z objęć. A kiedy to zrobił, musiał ją podtrzymać. Rozglądała się dokoła, jakby czegoś szukała.

- Czego chcesz? - zapytał.

Mogła odpowiedzieć: ciebie. Wtedy wzięłby ją na ręce i zaniósł do sypialni.

- Gdzie jest wyjście? - zapytała.

- Skąd?

- Stąd.

- Wychodzisz?.

- Tak.

Bardziej opanowany niż ona, Mitch rozejrzał się i wskazał jej drzwi.

- Jesteś pewna?
- Prosiłam cię, żebyś mnie nie uwodził.

Udało jej się wypowiedzieć całe zdanie. Powoli dochodziła do siebie. Mitch był rozczarowany.

Chwiejnym krokiem Sally podeszła do drzwi i próbowała je otworzyć.

- Jesteś pewna? - powtórzył ostrym tonem Mitch.
- Chyba tak - szepnęła, nie patrząc na niego.
- Porozmawiajmy.

Pokręciła głową i nadal próbowała otworzyć drzwi.

Mitch obiema dłońmi przygładził włosy i westchnąwszy głęboko, przez chwilę wpatrywał się w sufit. Potem otworzył jej drzwi.

- Pomóż mi zejść ze schodów - szepnęła błagalnie. Zrobił to, ale jego ręce błądziły tu i ówdzie.
- Nie rób tego - jęknęła.

Na dole Mitch włożył ręce do kieszeni i przez chwilę przyglądał się, jak Sally walczy z kolejnymi drzwiami. Dopiero po minucie pomógł jej je otworzyć.

Wyszła przed dom. Na ławce siedział strażnik. Mitch pomachał do niego i poprowadził Sally do jej auta.

- Do jutra - powiedział.
- Kiwnęła głową.
- Będiesz mogła prowadzić? - zapytał.
- Chyba tak.
- Wróć do mnie.
- Nie ma mowy.

Mitch wyjął z jej ręki kluczyki i otworzył auto.

- Dziękuję.
- Sally...

Spojrzała na niego nie widzącymi oczami i uśmiechnęła się słabo.

- Zadzwoń, jak dojedziesz, żebym wiedział, że wszystko jest w porządku.

Kiwnęła głową. A potem wsiadła do auta i wolniutko odjechała.

Zadzwoiła pół godziny później.

- Mitch?

- Tak, Sally.

- Jestem w domu.

- To dobrze.

- Cała i... bezpieczna.

- Tak.

- To cześć.

- Cześć.

Rozłączyli się.

Mitch przez chwilę zastanawiał się, o czym świadczy ta rozmowa. Słowa były zwyczajne, krótkie, suche. Ale uczucia, które się za nimi kryły... Mitch aż zacisnął powieki. A potem znowu wyszedł pobiegać.

Następnego ranka Edgar Jamison zażądał, aby Mitchell Goalong stawił się w jego gabinecie.

- Jak leci, Mitch? - zapytał uprzejmie.

- Znakomicie.

- Czy słyszałeś może, co zrobiła wczoraj panna Yoder?

- Tak. To był genialny pomysł.

- Wiedziałeś o nim wczoraj?

- Tak.

No cóż, dowiedział się o wszystkim, co prawda, po fakcie, ale jednak wczoraj.

- Byliśmy zaskoczeni.

- Dlaczego? - zapytał z uprzejmym zainteresowaniem Mitch.

- Wydawało się to takie... w złym guście.

- Mogłoby to być tak odebrane - zgodził się Mitch.

- Ale czy zauważył pan, jak pomysłowo rozmieściła towary? Ma wspaniałe oko. Mam nadzieję, że nie przyjmie żadnej z tych ofert pracy, jakimi inni ją zasypują.

- Hmm, tak.

- Panna Yoder to prawdziwy skarb. Moim zdaniem, powinna dostać podwyżkę.

Wszyscy Jamisonowie spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Towary można zmieniać każdego dnia, włączać kolejne działły - kontynuował Mitch. - W czasach panowania telewizji, kiedy ludzie reagują na obraz, pomysł panny Yoder jest wręcz genialny.

Jamisonowie nadal byli ostrożni.

- Hmm... tak.

- Czy jeszcze coś? - zapytał grzecznie Mitch.

- Nie - odparł najstarszy Jamison. - Nie, nie. Dzięki, że przyszedłeś wyjaśnić sytuację.

- To moja praca - uśmiechnął się Mitch. - Jestem zawsze do usług.

Skinął głową, uśmiechnął się i opuścił gabinet. Tego wieczora przy stole kuchennym, podczas jedzenia pozostałości po czwartolipcowym pikniku, Sally przyglądała się Mitchowi.

- Dziś Jamisonowie wezwali mnie do gabinetu Edgara - powiedziała w pewnej chwili. - Dostałam podwyżkę.

- Cieszę się.

- Jak tego dokonałeś?

- To proste. Wyjaśniłem im, że twój pomysł jest genialny.

- Powiedzieli, że to ty zasugerowałeś im tę podwyżkę.

- To prawda.

- Dlaczego?

- To był i jest znakomity pomysł. Jesteś naprawdę fachowcem na wagę złota.

- A więc powinnam utyc o kilka kilogramów - zażartowała.

Zjedli fasolę z wieprzowiną oraz sałatę, która wcale nie była pozostałością po pikniku. A także żytni chleb z dżemem malinowym i twarożek. Popijali białe wino.

- Mitch, jesteś naprawdę wyjątkowym człowiekiem - powiedziała Sally.

- Dlaczego?

- Byłbyś znakomitym przywódcą.

- Czego?

- Czegokolwiek. Jesteś wyjątkowy.

- Nie rozumiem.

- Rozwiązujesz problemy i pomagasz ludziom. Nadstawiasz karku i jesteś odważny.

Mitch uśmiechnął się.

- Jesteś naprawdę wyjątkowy - powtórzyła z powagą.

- Ty też.

Poczuł, jak topnieje mu serce. Zakochany mężczyzna naprawdę ma ciężkie życie. Już samo napięcie fizyczne to aż nadto.

Taak. A więc jest zakochany w tej Pracowitej Pszczółce?

- Podobno truteń, który wzięci najwyżej i zdobędzie królową, umiera - powiedział.

- Nie jestem pszczołą, a ty nie jesteś trutniem.

Truteń jest nierobem, a ożywia się tylko po to, żeby zapłodnić wielką, tłąstą królową.

Mitch oblizał wargi.

- Mówiłaś, że chcesz przybrać na wadze.

Sally spojrzała na niego wzrokiem niewiniątka.

- Chcesz mnie zapłodnić?

- Najpierw muszę trochę... poćwiczyć.

Parsknęła rozkosznym śmiechem. Oczy jej błyszczały, policzki zaróżowiły się.

Jak mógł kiedykolwiek myśleć, że jest przeciętna?

Przyglądał się, jak wyciera usta jedną z piknikowych serwetek. Potem odsunął krzesło i pomógł jej wstać. Wyprostowali się powoli i oto stali twarzą w twarz. Oddychali coraz szybciej. Jak to się stało?

Wtedy ją pocałował. Całował długo i namiętnie. Przywarła do niego, on objął ją mocno w pasie, przycisnął do siebie... a Sally nagle czknęła.

Nie byli w stanie powstrzymać śmiechu. Jeszcze nigdy nic ich tak nie rozbawiło.

Ale ich pocałunek był taki czuły, namiętny i oszałamiający, a czkawka to przecież normalna rzecz.

- Przepraszam - powiedziała Sally.

- Nie powinienem ci pozwolić zjadać tyle fasoli.

To wywołało kolejny atak śmiechu.

- Czy myślisz, że cię kocham? - zapytał, bacznie ją obserwując.

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego nie?

- Nie nadaję się dla ciebie. Zrujnowałabym twoją karierę.

- A moje życie? Gdybyś nie mogła mnie kochać, zrujnujesz moje życie.

- Nie. Jesteś taki silny, że zwyciężysz wszystko

i wszystko przeżyjesz. Jesteś bardzo wrażliwy, więc wydaje ci się, że będziesz cierpieć, ale jesteś w stanie przetrwać wszelkie zło, jakie trafi ci się w życiu. Już nieraz tak było. Twoje życie wcale nie było zwyczajne.

- Miałem szczęście spotkać ludzi, którzy mi pomogli.
 - Szkoda, że twoja matka nie mogła cię poznać. Ile miałeś lat, kiedy umarła?
 - Piętnaście.
 - Szkoda, że nie mogła wtedy cię widzieć. Jaki byłeś?
 - Walczyłem o dominację w konglomeracie potomstwa Brownów.
 - I wygrałeś.
 - Nikt chyba tego nie zauważył.
 - Jak od tego pragnienia dominacji udało ci się przejść do twojego obecnego stosunku do ludzi, do tolerancji i współczucia?
 - Nawet nie wiem, że mam te zalety.
 - Udowadniasz to każdego dnia.
 - Jak?
 - Na przykład ten facet od listów. Powiedziałeś mu, że jest ci potrzebny. Teraz czuje się jak twoja prawa ręka.
- Sally mówiła o pracowniku, który na biurko Mitcha przekazywał całą pocztę przychodzącą do niej.
- W dziale listów, owszem.
 - Ale to dzięki tobie tak się czuje.
 - A jak ty się czujesz dzięki mnie?
 - Nie wylano mnie z pracy. Od ponad sześciu miesięcy sprawiam Jamisonom kłopoty. Moja kariera wisiała na włosku, kiedy zjawiłeś się ty. Bez ciebie już dawno rozglądałabym się za nową posadą.
 - Czy wyjechałabyś z Fort Wayne?
 - Nie od razu.
 - Z tobą nigdy nic nie wiadomo.

Przyciągnął ją do siebie i znowu pocałował.
Cały świat przestał nagle dla nich istnieć. Pograżyli się w oceanie namiętności.

Oderwali się w końcu od siebie. Mitch musiał się oprzeć o stół. Sally wsunęła ręce we włosy i próbowała pojąć, co się z nią dzieje.

- Zabijasz mnie - wykrztusił Mitch.

- Nie wiem, co w tobie jest takiego. Zdarzyło mi się już całować mężczyzn i...

- Kogo?

- ...nigdy nie było to takie oszałamiające. Jesteś bardzo niebezpieczny dla takiej jak ja kobiety. Dlaczego nie możesz po prostu całować? Dlaczego musisz doprowadzać mnie do takiego stanu, że nie wiem, co robię?

- Jestem niewinny.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Akurat!

Chwyliła torebkę i wyszła.

Jakim cudem udało jej się dotrzeć do drzwi?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Sally w ten sposób opuściła jego mieszkanie, Mitch musiał pozbierać się na tyle, by móc odprowadzić ją do auta. Wziął kilka głębokich oddechów i rozejrzał się dokoła.

Kuchnia była na miejscu. Dziwne. I talerze nadal stały na stole. Sally pomogła mu w sprzątaniu.

Niepewnym krokiem ruszył ku drzwiom. Wyszedł, zostawiając je otwarte. Sprawdził, czy ma w kieszeni klucz do drzwi na dole, i zszedł ze schodów. W takim stanie nie mógłby wspinać się na górę.

Wyszedł przed dom i spojrzał na strażnika, który wskazał mu kierunek. Poszedł zgodnie z jego wskazówką i dogonił Sally.

- Nie wywiązałaś się z powierzonego ci zadania
 - powiedział.
 - O co ci chodzi? - zapytała podejrzliwie.
 - Nie posprzątałaś! - rzekł z oburzeniem.
 - Jutro to nadrobię. Ugotuję i posprzątam.
 - Zgadzam się.
 - Tylko się do tego nie przyzwyczajaj. Skąd wiedziałeś, że nie pomogłam ci w sprzątaniu?
 - Naczynia nadal są na stole.
- Sally przystanęła.
- Byłeś w stanie rozejrzeć się i zauważyć to?
 - spytała, wyraźnie zdziwiona.

- A jak tobie udało się dojść do drzwi?
- Nie wiem - odparła, ruszając przed siebie.
- Dokąd idziemy?
- Zapomniałam, gdzie zaparkowałam samochód.
- Jak daleko było to od mojego domu?
- Niedaleko.
- Więc twoje auto musi być gdzieś tutaj. Obejdźmy budynek wokoło.
- Jak można obejść „wokoło” kwadratowe bloki?
- Ależ ty jesteś zasadnicza.
- Wiem.
- Masz jeszcze jakieś inne wady?
- Chodzi ci o m o j a opinię, czy o to, co sądzą na ten temat inni?
- Ojej.
- Czyżby zaczynało ci przechodzić?
- Co. takiego?
- To, co dzieje się z komórkami mojego mózgu, kiedy mnie całujesz.
- A więc przyznajesz, że nasze pocałunki są nie-samowite? Wydaje mi się, że ja nie mam z tym nic wspólnego. Po raz pierwszy doświadczam takiej reakcji w moim mózgu, więc musi to mieć coś wspólnego z tobą.
- Nie próbuj zrzucić na mnie odpowiedzialności
- ostrzegła go.
- Dlaczego miałyby to być moja wina? Ja tylko cię całuję i coś dziwnego dzieje się ze wszechświatem. Czy wiesz, że dziś wieczorem wydawało mi się, że świat wokół nas przestał istnieć?
- Tobie też?!
- To naprawdę poważny problem.
- Jest na to lekarstwo.
- Aż się boję zapytać, jakie.

- Przestać mnie całować - oznajmiła słabym głosem. - Jak się nie dotykamy, nie jest tak źle.

- Możemy spróbować.

- To dobrze.

- Czy to nie twoje auto?

- Gdzie?

Wskazał rząd zaparkowanych samochodów.

- Tak. Sam widzisz, jak mnie rozpraszasz. Nie będzie już żadnych pocałunków.

- Tak. Niech tak będzie... na razie.

- Potrafię nad sobą panować.

Mitch parsknął śmiechem i było to bardzo niegrzeczne.

- Do zobaczenia jutro u ciebie. Ja gotuję i sprzątam.

- Nagrałem to oświadczenie.

- Podejrzywałam, że jesteś do tego zdolny.

Stali już przy jej aucie.

- Dobranoc, Sally.

- Dobranoc.

I wtedy nachylił się i mocno pocałował ją w usta i zniszczył wszystko.

Otworzyła usta, gwałtownie łapiąc powietrze, zamachała rękami i chwyciła się za głowę. A on oparł się o auto i po prostu patrzył, niezdolny do niczego.

Próbowała otworzyć drzwi, więc musiał zebrać się w sobie i jej pomóc. Nie mogła znaleźć kluczyków. Szukała ich, przekładając je z jednej ręki, by móc szukać drugą.

Wyjął kluczyki z jej dłoni, znalazł kluczyk od stacyjki i podał go jej.

- Ty wstręciuchu.

Wsiadła do auta i odjechała wolno i ostrożnie, jak początkujący kierowca.

Mitch stał jeszcze przez chwilę i rozglądał się dokoła, dochodząc do siebie. W końcu wrócił do domu i nawet bez problemu wszedł na schody. A więc kiedy Sally znika z pola jego widzenia, on nawet jest w stanie funkcjonować. Jak daleko ta kobieta musi być od niego, żeby mógł działać normalnie? I co to znaczy: normalnie?

Co chwila spoglądając na zegarek, posprzątał w kuchni. Potem zadzwonił do Sally.

- Już dojechałam i to wcale nie dzięki tobie, ty draniu - powiedziała od razu.

- Mary Lou? - zapytał zmieniając głos.

Sally odłożyła słuchawkę.

Mitch zadzwonił jeszcze raz.

- Rett, najdroższy, uspokój się - warknęła i odłożyła słuchawkę.

Mitch wyszedł pobiegać. Kiedy wrócił, wziął prysznic, a w drodze do sypialni otworzył szafę i popatrzył na zdjęcie Sally. Czy to pożądanie, czy miłość?

Potem położył się do łóżka i zasnął, a jego sny pełne były scen erotycznych.

Następnego wieczora niecierpliwie czekał na Sally przed domem. Uśmiechnął się i otworzył przed nią drzwi.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - powiedziała.

Patrzył, jak myje ręce w zlewie, a potem wyjmuje produkty z lodówki.

- Tu jest klucz do drzwi na dole i do mieszkania. To na wypadek, gdybyś jutro przyszła pierwsza - powiedziała.

- Dobrze, że o tym pomyślałaś. Połóż te klucze na mojej torebce.

Nie zaproponowała mu swojego klucza. Ale on dał jej swój. Odczuł jakąś dziwną satysfakcję. Czy dlatego, że Sally ma klucz do jego mieszkania? Trzeba się będzie nad tym zastanowić.

Z rękami w kieszeniach kręcił się bez sensu po kuchni, ale nic nie mówił.

- Jeśli w ogóle kiedyś zechcesz coś zjeść, to przejdź do innego pokoju! - powiedziała, na moment przerywając robotę.

- Przecież nic nie powiedziałem! I nie zacząłem cię dotykać!

- Mitch, wiesz...

- Wiem!

Chwycił ją w ramiona. Rozchyliła usta i poddała się temu niesamowitemu pocałunkowi. I okazało się, że autorzy romansów naprawdę wiedzą, o czym piszą. Ale... kto by pomyślał, że Fort Wayne w stanie Indiana może być epicentrum trzęsienia ziemi o sile jedenastu stopni w skali Richtera?

Przycisnął ją mocno do siebie. Otoczył jej głowę ramionami, żeby osłonić przed wałącym się dachem. A potem wszystko ucichło.

Spojrzał w jej rozszerzone ze zdziwienia oczy.

- Trzęsienie ziemi? - zapytała ostrożnie.

Nie wypuszczał jej z objęć.

- To tylko... my.

Sprawdziła, czy sufit naprawdę jest cały.

- Skąd można wiedzieć, czy to nie trzęsienie, ale rzeczywiście tylko... my?

- Musi być jakaś mała, subtelna różnica. Trzeba będzie poeksperymentować.

- W jaki sposób?

Mitch wzruszył ramionami.

- Przytulając się... całując.

- Moglibyśmy wziąć sejsmograf.

- Pewnie wstrząsy przekroczyłyby jego skalę - rzekł w zamyśleniu. - Musielibyśmy ciągle kupować

nowe - ciągnął, nie wypuszczając jej z objęć. - Uważam, że po prostu powinniśmy to robić jak najczęściej... i przyzwyczać się do siebie. Wierzę w stare powiedzenie, że starzy przyjaciele najlepiej się czują ze sobą. A ponieważ powiedziałaś, że właściwie się nie znamy, powinniśmy jak najwięcej ze sobą przebywać, pieścić się i całować, żeby było nam dobrze razem.

- Ależ ja cię znam. Jesteś łagodny i zabawny. Jesteś gotów pogodzić się z całym tym chaotycznym bałaganem, bo lubisz mnie całować.

Mitch przez chwilę podziwiał widok za oknem.

- To nie tylko to - rzekł. - Lubię twoje ciało. Cały czas kombinuję, jak pozbawić cię ubrania.

- Naprawdę? - Powiedziała to tak, jakby wcale się tego nie domyślała. - Z ciebie naprawdę jest zbereznik.

- Tak. - Skinął trzy czy cztery razy głową. - Chcę cię trochę pobałamucić.

- Chcesz mnie przyciskać i zobaczyć...

- Dokładnie tak.

- ...czy znowu dostanę czkawki.

Mitch wybuchnął głośnym śmiechem. Przycisnął ją jeszcze mocniej, co przed chwilą wydawało się niemożliwe, i kołysał się wraz z nią w rytm swego śmiechu.

- Muszę już iść. Mam jeszcze dziś mnóstwo do zrobienia.

- Co?

- Obiecałam, że obejrzę kilka taśm.

Mitch mimowolnie rozluźnił nieco uścisk.

- Jakich?

- Jeszcze nie wiem.

- Tylko dla dorosłych?

- Ty masz zawsze jedno na myśli!

- Myślałem tylko, że mógłbym ci pomóc.

- Dzięki za dobre chęci. Puść mnie. Muszę nakryć do stołu. Ojej, popatrz, która godzina!

- Jak ty w ogóle możesz patrzeć na zegarek!

Był tak oburzony, że musiał ją znowu pocałować.

Przez pięć sekund próbowała się wyswobodzić, a potem zaczęła z nim współpracować. Poruszała się lekko i jęczała cicho, wzdychała i doprowadzała go do utraty zmysłów.

- Na kolację zjedli kanapki z masłem orzechowym i wypili mleko. Na deser - banany. Ubranie Sally było pomięte, włosy w nieładzie.

Patrzył na nią roznamiętnionym wzrokiem.

- Nie możesz odejść i zostawić mnie w takim stanie - powiedział zdecydowanie.

- Nic ci nie zrobiłam! To twój problem.

- Jeszcze nigdy przedtem nie miałem takiego problemu.

- Ha!

- Jesteś bez serca.

- Zgadza się.

Wrzuciła papierowe talerze do kosza i wytarła stół.

- Jestem gotowa - powiedziała.

- To wspaniale.

- Dobranoc. Kolacja była wyjątkowa.

- Masz twarde serce.

Sally zaśmiała się.

- To dobra rzecz.

- Co będzie ze mną?

- Biedny Mitch. To twoja wina. Trzeba mnie było zostawić w spokoju.

- Ale ty też mnie całowałaś.

- Bo wspaniale całujesz.

- Z iloma mężczyznami się całowałaś?

- Żaden nie może się z tobą równać. Wszyscy byli tacy zwyczajni. Żadnych trzęsień ziemi, nic niesamowitego... nic tak wspaniałego.

- A więc podobało ci się?

- Wychodzę.

- Nie idź. Zostań ze mną.

- Nie. Seks to nie jest coś, co się uprawia tylko dlatego, że sprawia przyjemność.

- Jesteś dziewicą! - wykrzyknął.

- A ty najwyraźniej masz za sobą tysiące podbojów - zawołała lekko obrażona.

Mitch uśmiechnął się.

- Nigdy się z nikim innym nie kochałaś.

- Z nikim - poprawiła go.

- Musisz być jedyną dziewicą w wieku powyżej dwudziestu jeden lat na całej tej planecie.

- Sprawdzałeś? - zapytała ironicznie.

- Nawet nie wiesz, jaka przyjemność cię czeka.

- Skąd mogę wiedzieć, że nie toczą cię wszystkie możliwe choroby, łącznie z tą najgorszą?

- Przysięgam na honor. A ty?

- Jak słusznie się domyśliłeś, jestem czysta.

- Na razie.

- Idę do domu.

- Zostań, proszę. Obiecuję, że nie zrobię nic ponadto, czego będziesz chciała.

Przechyliła głowę, jakby nasłuchując, skąd dochodzi dźwięk.

- Brzmi to znajomo. Czy tego was uczą w męskiej szatni na basenie?

- Ktoś już ci to mówił?

- Kobiety się sobie zwierają. Pomaga nam to uniknąć wielu niespodzianek.

- Mówiłem szczerze. Nie chcę, żebyś teraz odeszła. Wystarczy, że trochę ze mną porozmawiasz i pozwolisz mi na siebie patrzeć. Widziałaś zdjęcie w mojej szafie. Ja...

- Właśnie chciałam cię o nie zapytać. Dlaczego zawiesiłeś je w szafie? Wstydzisz się?

- Chodź i zobacz - powiedział Mitch.

Zaprowadził ją do holu i otworzył drzwi szafy. Wyjął drugie zdjęcie i powiesił je na ścianie.

- To po to, żebyś mnie witała, kiedy wracam do domu.

- Dlaczego więc je zdjąłeś ze ściany?

- Bałem się, że nie zrozumiesz, kiedy wejdiesz tu i zobaczysz je. Że pomyślisz, iż jestem wariatem.

Na twarzy Sally pojawił się lekki rumieniec zadowolenia. Ściągnęła usta, by powstrzymać uśmiech.

- Możliwe. Zbyt mało cię znam, żeby tak sądzić. Nie, tego nie mogę powiedzieć. Mówiłam ci już, że jesteś wyjątkowym człowiekiem. Naprawdę. Przerazasz mnie. Tak na mnie działasz, że aż się boję. Muszę być ostrożna. Boję się o siebie.

- Będę się tobą opiekował - rzekł poważnie.

Patrzyli na siebie przez bardzo, bardzo długą chwilę.

- Proszę, Mitch, nie kuś mnie. Muszę wracać do domu.

Mitch spuścił wzrok.

- Obiecałaś, że jutro przyjdiesz na kolację.

- Tak.

- Odprowadzę cię.

Byli tak przejęci swymi odczuciami, że nie mówili już nic więcej. Kiedy dotarli do jej auta, Sally nawet nie próbowała sama go otworzyć, tylko od razu wręczyła mu kluczyki. Mitch otworzył drzwi i włożył jej do ręki kluczyk od stacyjki.

Potem ją pocałował.

Byli na ulicy. Ruch był niewielki. Nie przyłgnał jednak do niej całym ciałem. Pochylił się tylko lekko do przodu i musnął wargami jej usta. I znowu wszystko wokół eksplodowało, a Sally zadrżała gwałtownie. Odjechała wolniutko, zwracając szczególną uwagę na zakręty i światła.

Odczekawszy kwadrans, Mitch wykręcił jej numer.

- Jesteś tam?
- O mały włos, a byłabym nie dojechała.
- Co się stało? - przeraził się Mitch.
- Ty.

Mimo mocnych przeżyć całego dnia i jeszcze dodatkowo długiego biegania, Mitch nie mógł zasnąć.

Nazajutrz rano wszystkie kobiety zerkały na niego z zaciekawieniem. Wyglądał jak zielonooki Laurence Olivier grający Heathcliffa, cierpiący i smutny.

Wszyscy byli dla niego wyjątkowo serdeczni. A on wpatrywał się w wiatrak Rembrandta na tle zachmurzonego nieba. Czuł się jak ten wiatrak, wielki, potężny, nieruchomy, czekający, aż ożywią go pieszczoły Sally.

Chciał upewnić się, czy ta dziewczyna rzeczywiście istnieje, i obszedł w jej poszukiwaniu cały magazyn. Nigdzie jej nie było. Dziwne. Nie potrafił tego wyjaśnić, bo nie mógł przecież nikogo zapytać ani wezwać jej przez mikrofon. Musiał czekać do wieczora. Zjadł lekki obiad i chwilę spacerował.

Po południu poinformowano go, że cygaro jest już oprawione. Powiedział sekretarce, że ma coś ważnego do załatwienia i wróci za pół godziny. Poszedł po plakietkę. Była opakowana w brązowy papier i przewiązana grubym sznurkiem. Zaniósł ją do mieszkania i położył, nie rozpakowaną, na kuchennym stole.

Wrócił do pracy i jakoś udało mu się dotrzeć do wieczora.

Wyszedł trochę wcześniej. Chciał być w domu, kiedy przyjdzie Sally. Chciał, żeby sama otworzyła sobie drzwi jego kluczem.

Miał więc trochę czasu na nerwowe oczekiwanie. Zdjęcie Sally wisiało teraz na ścianie w holu. Przystawał czasem i patrzył na nie. Rozglądał się też po mieszkaniu. Nie był to jeszcze dom. Bez niej był martwy i ponury.

Zdziwił się, kiedy zadzwonił dzwonek domofonu. Czyżby zgubiła klucz? Zapomniała, że go ma?

- To ty? - zapytał, podchodząc do domofonu.

Ale to był Pike!

- Wygląda na to, że nie mnie się spodziewałeś

- zaśmiał się Pike. - To znaczy, że jesteś zajęty?

- Zgadza się.

- Będziemy dalej tak rozmawiać, czy też mogę wejść?

- Cóż...

- Mogę zostać tu na dole i poczekać na twego gościa. Czy to ktoś, kogo znam?

- O Boże, Pike, ależ jesteś namolny. Wchodź, ale się streszczaj.

- Jasne. Rozumiem.

Mitch nacisnął guzik i Pike wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie.

- Wybieramy się w niedzielę całą bandą nad jezioro

- zaczął od progu. - Wynajęliśmy ponton, bierzemy jedzenie i piwo. Weź swą tajemniczą panią i jedźcie z nami.

- Skąd wiesz, że mój gość to kobieta?

- Gdyby to był facet, nie byłbyś taki drażliwy

- odparł Pike.

- Zorientuję się w sytuacji i dam ci znać wieczorem.
- Wyciągnął portfel. - Zapłacę ci moją część za ponton i piwo, żebyś już nie szukał nikogo innego. - Wyjął dwa banknoty. - Wystarczy? Dzięki za zaproszenie. Może być nieźle.

Pike wziął z ręki Mitcha tylko jeden banknot.

- Będzie. Postaraj się przyjść.

- Dzięki, Pike. Przepraszam, że cię tak popędzam.

Zadzwoń później.

Pike odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Sally, z bukietem w ręku wchodzącą po schodach.

- Cześć, Sally - uśmiechnął się szeroko. Zachowywał się tak, jakby spotykali się na schodach Mitcha codziennie.

Zaskoczona i zmieszana Sally przystanąła.

- Jeśli zapomnisz zadzwonić dziś wieczorem, bądź u mnie w niedzielę o ósmej rano - zwrócił się Pike do Mitcha. - Dobrze? No, to cześć - rzucił na pożegnanie i zbiegł po schodach.

Sally i Mitch czekali w milczeniu, aż trzasną drzwi na dole. Potem spojrzeli na siebie - i Mitch uśmiechnął się.

- Ty wstręciuchu! Ukartowałeś to, żeby mnie skompromitować.

- Nie.

- Wiem, że nie. Ale teraz wyszło szydło z worka.

- Pike nikomu nie powie, że tutaj byłeś.

- Pike jest plotkarzem całej firmy. Wie wszystko o wszystkich.

- No to co? Przyszłaś po prostu na kolację.

- I mam klucz do twojego mieszkania - dokończyła z gniewem.

Mitch spuścił wzrok, by ukryć zadowolenie, że... wkrótce wszyscy będą wiedzieli.

- Kolacja już prawie gotowa. Wejdz. Jedzenie ci nie zaszkodzi.

- Jestem skompromitowana.

- Jeszcze nie.

Pod wpływem jej spojrzenia powinien paść martwy. Ale nie padł.

Był uprzejmym gospodarzem. Podszedł do niej i ująwszy za ramię, wprowadził do mieszkania.

Przyniosła bukiet cynii. I to ucieszyło go najbardziej. Widząc te kwiaty, Pike zrozumiał, że nie jest to zwyczajna wizyta. Przyjęła jego zaproszenie, przyniosła nawet kwiaty, ma klucz do jego mieszkania... jest skompromitowana.

Wkrótce wszyscy się dowiedzą. To mogło skomplikować jej życie. Jego nie tak bardzo, ale jej tak. Choć może nie będzie tak źle.

Mitch wiedział, że nie będzie próbował tego naprawiać. Pozwoli, by Pike rozgłosił wszędzie, że Sally należy do swojego szefa, Goalonga. Jak ona to zniesie?

„Wyszło szydło z worka”, powiedziała. Była niezadowolona, ale nie zrozpaczona. Wolała, by ich poza-biurowa znajomość była tajemnicą, ale tymi słowami przyznała, że nie jest już sekretem, że znają się na tyle dobrze, by miała klucz do jego mieszkania.

Znaczyło to, że są parą, nie tylko znajomymi czy przyjaciółmi, lecz kochankami.

Chciałby, żeby tak było.

Ogromnie się starał, żeby już bardziej jej nie zdenerwować. Zamknął drzwi i odwrócił się, by uspokoić ją uśmiechem. Nie było jej. Rzuciła torebkę na krzesło i ruszyła do kuchni. Czyżby chciała jak najszybciej mieć z głowy kolację i uciec?

Napełniła wodą wazon, włożyła kwiaty i postawiła

je na stole. Leżała tam owinięta w brązowy papier, obwiązana sznurkiem plakietka.

- Zostaw to na stole. To prezent dla ciebie - powiedział, kiedy chciała ją odłożyć paczuszkę na półkę.

Spojrzała na zawiniątko, a potem na niego.

- Co to jest?

- To coś na deser.

- Za ciężkie na ciasto czy herbatniki.

- Nie ściskaj i nie obmacuj - oblizał wargi - paczuszki. Musisz poczekać.

Na kolację Mitch przygotował łososia. Do tego podał sałatę. Żadna z tych rzeczy nie była pozostałością po czwartolipcowej imprezie.

- Skończyło nam się piknikowe jedzenie - zauważyła, przyglądając się tym wspaniałościom.

- Zostały jeszcze słodkie bułeczki.

- Ale te nie są słodkie.

- Uwielbiam je — wyznał.

- Zwabiłeś mnie tu pod fałszywym pretekstem.

Skinał potakująco głową.

- Dałeś mi klucz, żeby Pike przyłapał mnie w twoim mieszkaniu.

- Słowo honoru, że sam byłem zaskoczony, kiedy się tu zjawił. Zaprosił nas nad jezioro w niedzielę. Wynajął z kolegami ponton. To całodniowa wyprawa. Piknik, pływanie, picie piwa, zabawa i opowiadanie kłamstw.

- Czy ty kłamiesz? - zapytała z powagą.

- Tylko w lecie na piwnych piknikach nad jeziorem.

- On też był poważny. - Pojedź ze mną. Będzie fajnie.

- Zastanowię się nad tym.

Pokropiła łososia cytryną i wstawiła do piekarnika. Po upieczeniu posypała go koperkiem.

Mitch nalał białe wino. Jedli w milczeniu. Ryba była doskonała, sałata idealna, bułeczki chrupiące, a wino w znakomitym gatunku.

- Jesteś interesującym mężczyzną - powiedziała w pewnej chwili.

- Moim zdaniem, ty jesteś wspaniała.

- Chodzi o seks.

Mitch zastanawiał się przez chwilę.

- Rzeczywiście seks może być jednym z powodów mojego ogromnego tobą zainteresowania.

- A więc przyznajesz!

- Nie potrafiłbym tak się z kimś całować, gdyby moje zainteresowanie dotyczyło tylko cech twojego charakteru.

- A jak byś mnie całował, gdyby interesowała cię jedynie moja osobowość?

- W policzek.

- Nawet w policzek całowałeś mnie lubieżnie.

- Bo to był twój policzek. Inny zaledwie musnąłbym wargami.

- Mnie też musnąłeś. Czy to był dowód przyjaźni?

- Te pocałunki mogły wyglądać tylko jak muśnięcia, bo były bardzo krótkie. Przy tobie tracę zmysły.

- Bo jem łososia?

- Bo oddychasz.

- Przecież muszę oddychać!

- Twoja klatka piersiowa faluje.

- W niej są moje płuca.

- I twoje piersi się kołyszą.

- Jak śmiesz to zauważać!

- Chodzisz na wysokich obcasach i robisz szybkie kroki i... one naprawdę się kołyszą.

- Kupię sobie stalowy gorset.

- . - Nie.
- Wtedy nie będą się... kołysać.
- Najwyraźniej miała już dość tej rozmowy.
- Chcesz trochę cytrynowego jogurtu? - zapytał uprzejmie.
- Odrobinę.
- Potem będziesz mogła otworzyć swoją paczuszkę.
- Nie mam pojęcia, co to może być - powiedziała, dotykając zawiniątka.
- Niedługo zobaczysz.
- Nie powinieneś kupować mi prezentów.
- Robię to, na co mam ochotę.
- To najuczciwsze stwierdzenie, jakie padło z twoich ust.
- Możliwe.
- Jestem wzruszona twoją szczerością.
- Postaram się o dalsze wzruszenia. Dowcip, seks, czułość, seks...
- To już zauważyłam wcześniej.
- Nie pocałowałaś mnie na powitanie - poskarżył się.
- Zastanawiałam się, jak wyjaśnić Pike'owi moją obecność na twoich schodach i z twoim kluczem.
- Jesteś kobietą niezależną i żyjesz we współczesnym świecie.
- Na wszystko masz odpowiedź. Mogłam to podejrzewać już wówczas, gdy ocaliłeś moją głowę po raz pierwszy. Jesteś wspaniały.
- Dziękuję, panno Yoder.
- Czy mogę otworzyć paczuszkę?
- Czy mogę dolać ci trochę wina?
- Chyba już dość wypiłam.
- Tylko ze względu na toast.
- Będzie jakiś toast?

- Tak.

Zauważył, że stała się ostrożna. Jej ruchy były mniej swobodne. Podał jej nożyczki. Przecięła sznurek i odwinęła brązowy papier. Zmarszczyła brwi. Patrzyła na pokryte brązem cygaro i wygrawerowaną datę. Rozchyliła wargi. Spojrzała na Mitcha, a w kącikach jej oczu błyszczały łzy.

- O, Mitch.

- Wypijmy za kobietę sukcesu. Jestem z ciebie dumny.

Łza spłynęła jej po policzku. Zignorowała ją.

- O, Mitch - powtórzyła.

Rozbroiła go zupełnie. Jego oczy też zaszyły łzami. Uśmiechnął się. Uniósł kieliszek.

- Twoje zdrowie - powiedział.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wzruszona Sally uniosła kieliszek i uśmiechnęła się.

- Moje zdrowie.
- Byłem zaskoczony, kiedy wzięłaś to cygaro. Było to najgenialniejsze posunięcie, jakie w życiu widziałem.

- Dziękuję.

Sączyli wino.

- Gdyby ciebie tam nie było, nigdy bym tego nie zrobiła - przyznała Sally. - Chciałam się przed tobą popisać.

Mitch uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Miło, że to mówisz. Ale dobrze wiesz, że od początku twojej pracy u Jamisonów byłaś z nimi w konflikcie. Założę się też, że gdybyśmy cofnęli się do twoich szkolnych lat, znaleźlibyśmy tam początek przemiany Sally Yoder w kobietę, jaką jesteś teraz. Ludzie o tobie mówią. Podziwiają cię. Nawet nie za to, co zrobiłaś, ale za to, że przetrwałaś. Walczyłaś o wolność, prawdę i sprawiedliwość.

- Za to wszystko?

- Za wszystko - potwierdził Mitch z powagą.

- Wzór chodzącej doskonałości - Salamander Yoder - powiedziała w zamyśleniu. - Trzyma w ręku...

- Salamander?

- Moja prababka tak mnie nazwała: Była już wtedy bardzo stara. - Mitch przyciągnął ją do siebie i bardzo

ostrożnie posadził sobie na kolanach, a ona dalej opisywała swój wizerunek. - Sally z pochodnią w rękę. Coś takiego jak Statua Wolności. Bez książki. Piersi zakryte.

- Cholera.
- Kostka i stopa ledwie widoczne.
- Ojej!
- Wiedziałam, że nogi kobiet bardzo cię interesują. Mitch natychmiast zaprzeczył.

- Wcale nie jestem tego pewien. To wymaga poważnych studiów. Mężczyzn często określa się przez ich skłonności i przylepia etykiety. Wybór więc musi być bardzo przemyślany. Mogłabyś mi w tym pomóc.

- Jak?
- A więc się zgadzasz? Rozbierz się.
- Nie wierzę ci.
- Sama widzisz. Mamy ten sam problem. Ja też ci nie wierzę. Musisz pomóc mi cię zrozumieć i poznać prawdziwą Salamander.

Sally oparła się łokciem o stół i pochyliła głowę. Popatrzyła na niego uważnie.

- Co ja robię na twoich kolanach?
- Kiedy otworzyłaś tę paczuszkę, wyglądałaś tak, jakbyś się miała za chwilę rozpłakać, więc chciałem się pocieszyć.

- To zabawne, że zachowałeś to cygareto. I w dodatku kazałeś je pokryć brązem. Będzie to dla mnie najcenniejsza pamiątka, bo jest dowodem twego podziwu. Dziękuję.

- To ty zdobyłaś tę nagrodę. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

- Poparłeś mnie. Byłeś nowy w firmie i nadstawiłeś dla mnie karku. - Uśmiechnęła się, uniosła rękę

i pogłaskała go po włosach. - Od dawna chciałam to zrobić.

- Możesz dotykać mnie wszędzie - zachęcił ją.
- To bardzo szlachetne z twojej strony.
- Lubię się dzielić z innymi.

Żeby to udowodnić, pocałował ją. Ich ciała drżały, a serca tłukły się w piersi jak oszalałe.

Zauważyli to dopiero, kiedy ich usta się rozłączyły. Siedzieli i oddychali ciężko.

- Musi być jakieś lekarstwo na ten niesamowity stres.

- Tak i założę się, że uważasz, że ty je właśnie masz.
- Wiesz, co to może być?
- Jeśli wiesz, jak można rozwiązać tak poważny problem, to, jako porządna obywatelka, powinnaś się tą wiedzą podzielić z innymi.

- Twoim zdaniem to seks.
- O, taak! To może być to. Zobaczymy.

Wsunął ręce pod jej ramiona i nogi. Wstał, jakby całe życie nosił tę kobietę na rękach.

- Trzymaj się.

Kiedy niósł ją przez hol, wyciągnęła rękę i pogładziła go po włosach.

- Jest pewien problem z natychmiastowym zaspokojeniem pragnień - powiedziała. - Otóż nie zawsze jest ono możliwe.

- Jesteśmy przecież sami.
- Mam okres.

Mitch przystanął i spojrzał jej w oczy.

- Nie szkodzi.
- Szkodzi.
- Naprawdę. To nie ma znaczenia.
- Umarłabym ze wstydu.

- Wcale nie. Podłożymy ręcznik i wszystko będzie w porządku.
- Skąd wiesz o takich rzeczach?
- Faceci dzielą się ze sobą swoimi doświadczeniami.
- Nie.
- Naprawdę.
- Chciałam powiedzieć, że się nie zgadzam. Nie teraz.
- Za godzinę?
- Chyba zwariowałaś! Za kilka dni.
- Nie wytrzymam tak długo.
- Wytrzymasz. Mężczyźni są bardzo silni.
- Naprawdę wszystko będzie dobrze - spróbował przekonać ją jeszcze raz.

Sally pokręciła głową.

Wniósł ją do sypialni i położył na łóżku.

- To chociaż poleż tu, żebym mógł na ciebie patrzeć. Marzyłem, żebyś tu była. Widzisz tę poduszkę. Jest twoja. Obejmowałem ją co noc od dnia, gdy cię ujrzałem po raz pierwszy. Musisz położyć na niej głowę i pozwolić mi się całować.

Pozwoliła.

A potem, objęci, zasnęli.

W sobotę obudzili się bardzo wcześnie.

- Co ja tutaj robię? - zapytała Sally, rozglądając się po pokoju.
- Jestem załamany - rzekł Mitch.
- Załamany?
- Dokładnie tak. Pieściłem cię, a ty zasnęłaś.
- To było bardzo niegrzeczne z mojej strony - przyznała Sally po chwili.
- Tak sędzę.
- Przepraszam.

- Możesz to naprawić.
 - Jak?
 - Zgaduj do trzech razy.
 - Śniadanie do łóżka?
- Mitch parsknął śmiechem.
- To też. Ale co jeszcze?
 - Dzisiejsze sprzątanie?
 - No, no, nawet o tym nie pomyślałem. Na to też zgoda. Co dalej?
- Sally przygryzła wargę i zamyśliła się.
- Poddaję się - przyznała w końcu.
 - I o to chodziło!
 - Tobie nawet o świcie tylko jedno w głowie. Ciagle coś kombinujesz.
 - Pokombinujmy razem.
 - Nie dzisiaj. Zachowuj się przyzwoicie. Co ja robię w twoim łóżku w sobotę o siódmej czternaście rano i to na dodatek w ubraniu?
- Próbowałem cię rozebrać - oburzył się Mitch.
 - Pamiętam.
 - Byłaś uparta.
 - Jestem skromna.
 - Jesteś piękna i uparcie skromna.
- Sally obciągnęła bluzkę.
- Nie zawsze.
- Mitch powstrzymał jej rękę.
- Twoja uroda zapiera dech.
 - Nie. Jestem taka jak inne kobiety.
 - Czyżby?
 - Mitch, przestań.
 - Jesteś taka samolubna. - Był zde gustowany, ale w jego oczach płonęły iskiereki rozbawienia. - Zobaczmy, czy moja broda jest odpowiednia.

- Do... czego?
- Do pieszczot. Do muskania twojej szyi i ramion
- rzekł i położył głowę na jej piersiach.
- Ej, co ty znowu wyprawiasz?
- To. Leż spokojnie. No, Sally, niemożę tego robić, kiedy się ruszasz. No. Teraz unieś brodę. No i jak...?
- Cudownie.
- Podoba ci się?
- Niesamowicie.
- Moja przybrana matka uwielbiała, kiedy ojciec jej to robił. Kiedy byliśmy mali, też się tego domagaliśmy. Dostaje się od tego gęziej skórki, prawda?
- Mhm.
- Jeszcze trochę? - zapytał dziwnie zmienionym głosem.
- Lepiej przestań.
- Przecież wiesz, że będzie ci przyjemnie.
- Nie teraz - odparła zdecydowanie, ale pogłaskała go delikatnie po policzku.
- Jego zielone oczy płonęły. Uśmiechnął się leciutko.
- A jeśli chodzi o śniadanie, to leż spokojnie, a ja przyniosę ci wszystko, co chcesz.
- Przynieś moją torebkę.
- Wcale nie musisz płacić. To poczęstunek.
- Wiem. Chcę się odświeżyć.
- Tak się składa, że dom jest skanalizowany, jest zimna i gorąca woda, szampon i inne luksusy.
- Damskie ubrania też? - Spojrzała na niego spod oka.
- Mój szlafrok ci wystarczy?
- Znakomicie.
- Te spodnie dresowe, które kiedyś miałas na sobie, są już uprane. Mam też dużą kolekcję podkoszulków.

- Przyjmuję.
- No, no, nareszcie.
- Przyjmuję prysznic, szlafrok, spodnie i...
- Szkoda! Myślałam, że przyjmujesz mnie.
- Cóż za pokaz aktorstwa!
- Musisz poznać Felicję.
- Czy to twoja przybrana matka? - zapytała ostrożnie Sally. - Chyba mi o niej już mówiłeś?
- Tak. To znakomita aktorka. Jest absolutnie wyjątkowa.

Sally wyprostowała się i odwróciła głowę.

- Obraziłaś się?
- Oczywiście, że nie. Muszę się wykapać.
- Tędy moja pani - rzekł z uśmiechem Mitch.

Podał jej rękę i pomógł wstać z łóżka. Zaprowadził ją do łazienki i pokazał, gdzie leżą czyste ręczniki, mydła i szampon.

- Jestem bardzo dobry w szorowaniu pleców - powiedział.

- Masz w tym dużą praktykę?
- Jesteś szybka i podejrzliwa - zaśmiał się Mitch.
- Nie. W domu byłem odpowiedzialny za jednego z psów. Szczególnie dobrze sobie radzę z mydłem przeciw pchłom.

- Nie mam pcheł.
- Profilaktyka jeszcze nikomu nie zaszkodziła.
- Nie dajesz się zbić z pantałyku, co?
- Wydaje mi się, że cię kocham - rzekł ni stąd, ni zowąd.
- To niemożliwe - zaprzeczyła drżącym głosem.
- Pamiętam, że kiedyś pytałem ojca i innych face-tów, którzy akurat wtedy mieszkali u Brownów, po czym mężczyzna poznaje, że jest zakochany. „Jak się zakochasz, będziesz wiedział”, odpowiedzieli.

- Muszę wziąć prysznic.
 - Nie chcesz dalej słuchać?
 - Widzę, że szykujesz się znowu do całowania, a ja naprawdę muszę się wykapać. :'
 - Odrobina potu bywa bardzo podniecająca.
 - Wobec tego n a p r a w d ę muszę wziąć prysznic.
 - Nie bój się, mam prezerwatywy.
- Przestała popychać go ku drzwiom.
- Dlaczego? - zapytała.
 - Kupiłem je we wtorek.
- Nie było to prawdą, ale lepiej brzmiało.
- Myślałeś, że przychodzę tu na kolację po to, żeby cię uwieść?
- Uśmiechnął się do niej czule.
- Albo odwrotnie. Tak naprawdę to po prostu chciałem być dla ciebie gotowy.
 - Pokaż mi pudełko.
 - Chcesz zobaczyć p u d e ł k o ? Dlaczego, chcesz je zobaczyć? Czyżbyś była miłośniczkąjakiegoś szczególnego rodzaju? Wydawało mi się, że mówiłaś, że...
 - Chcę zobaczyć, czy je otworzyłeś.
- Mitch wybuchnął śmiechem. Była bardzo sprytna. Stare, pogniecione pudełko w dwóch trzecich puste?
- Nie jest pełne. Ćwiczyłem, żeby wszystko gładko poszło.
 - Gdzie jest to pudełko? - Sally rozejrzała się dokoła.
 - Przyjdzie na to czas. Nie podniecaj mnie. I bez tego ledwo wytrzymuję.
- Zwiesił głowę i przybrał cierpiętniczy wyraz twarzy.
- No, no! - powiedziała.
 - Sadystka zwana Salamander Yoder! - poskarżył się.

Sally złapała się za głowę.

- Mój Boże! Po co ja ci to powiedziałam! Do końca życia będę musiała tego słuchać!

- A więc to mnie czeka? Chcesz wisieć u mojej szyi do końca życia? - zapytał z udawanym przerażeniem.

- Wcale nie! Ty wstręciuchu! Mogłam się spodziewać, że wszystkim powiesz, jak w rzeczywistości mam na imię, i teraz cała okolica będzie się ze mnie wyśmiewać.

- To by bardzo ładnie brzmiało: „Salamander Yoder kandyduje w wyborach prezydenckich”. Całkiem niezłe. „Salamander Yoder znów gwiazdą ogólnokrajowych wiadomości. Właściciel stacji telewizyjnej rozważa zatrudnienie jej na stałe”. Też dobre.

- Idź przygotować śniadanie.

- Lubię, kiedy tu jesteś. Wprowadź się do mnie. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Ty naprawdę chcesz mnie zniszczyć! Przyłapano mnie, jak szłam do twego mieszkania z kluczem w ręku, a teraz jeszcze spędziłam tu noc.

- Ciagle jeszcze za mało.

- Ty naprawdę myślisz tylko o jednym.

- Z myśleniem jakoś daję sobie radę. To moje ciało cierpi najbardziej.

- Spróbuj się opanować.

- Próbuję, ale ty nie chcesz...

- Idź wreszcie. Idź do kuchni i przygotuj nam coś do jedzenia - powiedziała z naciskiem.

- Używasz mojego prysznic, moich ubrań, mojego łóżka, a teraz jeszcze chcesz, żebym cię nakarmił. A co ja z tego będę miał?

- Szacunek.

Mitch wybuchnął śmiechem i wyszedł z łazienki, a ona natychmiast zamknęła drzwi na klucz.

- A, Sally, zapomniałem ci coś powiedzieć - krzyknął. - Nie zamykaj drzwi na klucz. Zamek się zacina i trzeba będzie wzywać ślusarza:

Sally szybko przekręciła klucz. Zamek działał idealnie.

Mitch otworzył drzwi i uśmiechnął się.

- Kawa będzie za chwilę.

Sally zamknęła drzwi i przekręciła klucz.

Rozebrała się i weszła pod prysznic. Szorowała się długo i dokładnie. Dwukrotnie umyła włosy i poczuła się jak nowo narodzona.

Wytarła się i rozejrzała za dezodorantem. Jakimkolwiek. I wtedy na umywalce zobaczyła filiżankę gorącej kawy!

Popatrzyła na nią jak na cudowne zjawisko i sprawdziła drzwi. Były zamknięte. Rozejrzała się dokoła. Nie zauważyła innych drzwi. Mitch musi mieć dodatkowy klucz.

Włożyła szlafrok, wytarła włosy i lekko je ułożyła. Umalowała się trochę, żeby wyglądać jak człowiek, i poszła do kuchni, żeby powiedzieć Mitchowi, że dzentelmen nigdy nie wchodzi do łazienki, gdy kąpie się w niej dama. Na stole leżała kartka.

Są świeże, gorące pączki, jajka na twardo i więcej kawy. Edgar wezwał mnie na naradę. Wróć koło dwunastej.

Cudownie mieć cię... w moim łóżku.

Cóż za lubieżny liścik. Sally złożyła kartkę i schowała ją do torebki. Usiadła przy stole i zjadła śniadanie. Mitch bardzo sprytnie podzielił na dwie porcje ostatnie piknikowe pozostałości.

Jajek na twardo Sally nie zwykła jadać na śniadanie, ale trudno. Kawa natomiast była rzeczywiście znakomita. Sally nalała sobie pełną filiżankę i trzymając ją w ręku, spacerowała po pokojach. Czasami zaglądała

do szuflad. W jednej z nich znalazła majtki swego manekina. Przyglądała im się przez chwilę w zamyśleniu, ale zostawiła je na miejscu.

Nigdzie nie znalazła prezerwatyw. Czyżby Mitch miał jakiś tajny schowek? Przy dalszych poszukiwaniach znalazła kasetę wideo z literami S.Y. na okładce. Uśmiechnęła się.

Włożyła jego spodnie i jeden z podkoszulków. Pozbierała swoje pogniecione ubrania i napisała pożegnany list.

Dzięki za gościnę. S. Y.

Trzymając w ręku pantofle, a pod pachą ubranie, wyszła z mieszkania i zeszła na dół.

Nie mogła znaleźć swego auta. Czyżby zabrała je policja? Zostawiła je przecież w przepisowym miejscu.

Zadzwoniła na posterunek. Nie wiedzieli nic o jej samochodzie. Jeśli chce zgłosić kradzież, musi się do nich pofatygować osobiście.

- Może ktoś z mojej rodziny je przestawił - powiedziała. - Jeśli okaże się, że nie, zgłoszę się do was i złożę meldunek.

Potem zadzwoniła do biura i chciała skontaktować się z Mitchem.

- Bardzo mi przykro - powiedziała sekretarka. - Pan Goalong jest na naradzie. Czy coś mu przekazać?

- Nie. Dziękuję. Zadzwonię później.

- Powiem mu, że dzwoniłaś, Sally...

Sally osłupiała. Sekretarka rozpoznała jej głos.

- Dziękuję. To nic ważnego.

Auto stało na ulicy przed jego domem całą noc. A teraz ona, w biały dzień, tak dziwnie ubrana, musi wziąć taksówkę, zjechać przed swój dom, wysiąść z niej i wejść do środka. Cóż za kompromitacja!

Na dnie torebki znalazła cienką, jedwabną apaszkę, która okazała się całkiem spora. Posłużyła jej za węzełek na ubranie.

W taksówce zdjęła pantofle i włożyła je do torebki. Wysokie obcasy do dresowych spodni wyglądałyby co najmniej dziwnie.

Zapłaciła taksówkarzowi, jeszcze zanim się zatrzymał, i szybko wyskoczyła z samochodu. Kiedy szła do drzwi swego domu, spotkała dwoje sąsiadów. Ukłoniła się i wbiegła do budynku.

Z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Przebrała się we własne ubranie i automatycznie wykonywała zwykłe sobotnie porządki.

Punktualnie w południe zadzwonił Mitch.

- Dlaczego wyszłaś?
 - Zauważyłeś, że mieszkanie nie jest posprzątane?
 - domyśliła się.
 - Zatrudniam do tego kobietę, która przychodzi w każdy wtorek. Dlaczego na mnie nie zaczekałaś?
 - Musiałam wrócić do domu. Moje auto zniknęło.
 - Wcale nie. Wczoraj wieczorem odstawiłem je na parking.
 - Wstałeś w nocy i przestawiłeś moje auto?
 - Pewnie. Nie chciałem, żeby zabrała je policja. Jak dostałaś się do domu?
 - Taksówką.
 - Bardzo cię przepraszam, koteczku.
 - Nie ma sprawy.
 - Przeprowadzę ci auto, a potem mnie odwiesz.
- Dobrze?
- O której?
 - Może być teraz? Masz masło orzechowe? Pamię-

tam, że umiesz robić wspaniałe kanapki z masłem orzechowym. Do tego mleko i banan.

- Chyba mogę spełnić tę twoją prośbę.
- A inne?
- Tylko tę dotyczącą kanapki, mleka i banana.
- Skapirałto.

Na szczęście nie mógł jej widzieć, więc pozwoliła sobie na uśmiech.

- Kiedy przyjedziesz? Nie chcę, żeby kanapka się zeschła.

- Widzę, że o mnie dbasz. Za chwilę będę u ciebie.
- Czekam.
- Marzę o pocałunkach.
- A ty znowu to samo.

Odłożył słuchawkę.

Czekając na Mitcha, Sally nie mogła sobie znaleźć miejsca. Szybciutko przygotowała kanapki, dodając ser, pomidory, chrupiący bekon, sałatę i majonez. Nalała mleka do szklanek i wstawiła je do lodówki.

Mitch zaparkował przed jej domem. Wsiadł z auta i jak zwykle rozejrzał się dokoła. Otworzyła drzwi i zaprosiła go do chłodnego wnętrza. Mitch wszedł, uśmiechnął się i wyciągnął ku niej ramiona.

Sally zamknęła drzwi i wsunęła się w jego objęcia. Przywarła mocno do jego ciała i podała mu usta.

Nadeszło tornado. Dom zatrzęsł się w posadach, zabrzęczały szyby.

- A więc to nie była moja wyobraźnia - rzekł w końcu Mitch.

Igrali z porządkiem wszechświata. Nie zwracali w ogóle uwagi na chaos, jaki w nim powodują. Starali się tylko być jak najbliżej siebie.

- Tak bardzo chciałem zastać cię u siebie, kiedy wróciłem - rzekł w końcu Mitch.

Mieszkanie znowu wydało mu się takie puste i nieruchome. Czuł się porzucony. Powitał go tylko suchy, krótki uścisk.

- Jesteś głodny?

Znów próbował przycisnąć ją do siebie, ale ona wzięła go za rękę i zaprowadziła do łazienki, żeby się umył, a potem zaprosiła do stołu.

Mitch wziął do ust pierwszy kęs i żuł w zamyśleniu. Potem zaczął oglądać kanapkę, żeby zobaczyć, co je. Sally przykryła ją ręką.

- Zgadnij.

- Bekon i pomidor? Masło orzechowe. I ser? Sałata. Bardzo ciekawa kombinacja.

- To dobra, odżywcza kanapka.

Musiał więc się przekonać, czy rzeczywiście go to ożywi. Zjadł kolejną kanapkę, a potem rozsiadł się wygodnie, przeciągnął i ziewnął.

- Muszę się zdrzemnąć - rzekł, z trudem powstrzymując śmiech. - Wczoraj ty spałaś w moim łóżku. Będzie sprawiedliwie, jeśli teraz ja prześpię się w twoim.

Spojrzała na niego z wyższością.

- Mam pokój gościnny.

- Ja też, ale jestem bardziej uczynny od ciebie. Podzieliłem się z tobą własnym łóżkiem. Teraz ty będziesz musiała podzielić się swoim.

Zaprowadziła go na górę i pokazała mu swoją sypialnię. Przez chwilę rozglądał się po pokoju, potem zdjął marynarkę i krawat, buty i skarpetki.

Rozpiął koszulę i wyciągnął ręce, żeby rozpięła mu mankiety. Pomogła mu zdjąć koszulę i odwiesiła ją do szafy.

Przyglądała się, jak wyjmuje rzeczy z kieszeni i kładzie je na toalecie. Potem rozpiął spodnie i rozsunął rozporek.

Podniósł wzrok i zobaczył, że mu się przygląda. Nie bez problemu zdjął spodnie.

- Od kiedy cię poznałem, cały czas jestem w tym stanie - wyjaśnił.

Sally milczała.

- Boisz się mnie?

Pokręciła lekko głową.

- Naprawdę potrafię nad sobą panować.

Złożył równo nogawki i powiesił spodnie na wieszaku.

- Chodź - powiedział. - Musimy odpocząć. Wieczorem idziemy na tańce. Chcę znów przez całą noc trzymać cię w ramionach, a w miejscu publicznym będzie to najbezpieczniejsze. A poza tym naprawdę chce mi się spać. Postaraj się nie dotykać mnie przez jakąś godzinę.

Weszli do łóżka z przeciwległych stron i spotkali się pośrodku. Pocałował ją ostrożnie, westchnął ciężko, otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie.

- Postaraj się nie wiercić, a ja będę udawał, że jesteś poduszką.

Leżała nieruchomo i milczała.

Mitch westchnął jeszcze kilka razy i nieco zmienił pozycję. Potem zamknął powieki i zasnął.

Sally leżała nie śpiąc.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sally zdziwiła się, że Mitch tak szybko zasnął. Wsparła się o poduszkę, podłożyła rękę pod policzek i patrzyła na niego. Jak może mieć tak czyste sumienie - leżąc w ten sposób w łóżku obcej kobiety - i spać tak mocno? Czy powinna zakończyć tę całą sprawę?

W jaki sposób tak łatwo wtargnął w jej życie? Nie wydawał się wcale aż tak doświadczony w tych sprawach.

Ile kobiet namówił na spędzenie z nim nocy? Nawet ona nie mogła uwierzyć, że do tego doszło. A oto jest razem z nim w łóżku, a przecież wcale nie zamierzała się na to zgadzać.

Przy nim czuła się taka bezpieczna i w dodatku panująca nad sytuacją. Był albo szczery i uczciwy, albo sprytny i niebezpieczny.

Był z nią taki otwarty. Chciała, żeby poznał jej rodziców. Przez cały czas obserwowałyby wtedy ojca. Zawsze potrafiła odczytać jego myśli. Byli tak bardzo do siebie podobni.

Co ojciec myślałby o Mitchu? Delikatnie, bardzo delikatnie wysunęła się spod spoczywającej na jej brzuchu ręki i wstała z łóżka. Boso przeszła przez pokój i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

A w łóżku Mitch leciutko otworzył oczy i uśmiechnął się do siebie. Ułożył się wygodniej i dopiero wtedy

zasnął. Sally zesłała na palcach na dół i zadzwoniła do swojej siostry, Betty.

- Pamiętasz, że odwołałam naszą wspólną wyprawę 4 Lipca?

- Tak.

- Może chciałabyś spotkać się ze mną dziś wieczorem i poznać przyczynę?

- Owszem, ale...

- Słuchaj, sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Sally wsunęła palce we włosy. - Trochę mnie to przeraża. Wszystko stało się tak... szybko.

- Czyjesteś...?

- Oczywiście, że nie! Naprawdę, Betty!

- Chyba wiesz, że Cubsi grają dziś po południu? I wiesz, jak Ralph się tym przejmuję. Cały wieczór będzie dochodził do siebie. Czy rozumiesz, co będę musiała zrobić? Ile mnie to będzie kosztowało?

- Tak, wiem. Ale ściagnij i Ralpha. Bardzo mi zależy na jego opinii.

- Jasne. Ściagnę też tatę i mamę, a także całą resztę rodzeństwa. I naszą prababcie z domu starców. Stawimy się wszyscy... Cicho. To ty masz słuchać. A my wszyscy otoczmy was kołem i będziemy się gapić.

- Zapomnij, że dzwoniłam.

- Mój Boże, to coś naprawdę poważnego?

- O, Betty...

- Ściagnę Joe'ego i Tiny'ego.

- Może nie. Bracia mają nie najlepszy stosunek do ewentualnych narzeczonych siostr.

- A więc on jest... ewentualnym?

- A myślałaś, że po co całe to zamieszanie?

- Łatwiej by mi było rozmawiać, gdybym znała jego nazwisko.

- Mitchell Goalong. Śmieszne, prawda?
- Elbedia Yoder jest ostatnią osobą, która mogłaby śmiać się z czyjegoś nazwiska.
- Taak. Mitch wie, że mam na imię Salamander.
- Już mu to powiedziałaś?
- Nie pokazałam mu jeszcze swoich bliźni znamion.
- Rozumiem. No więc, kochana, kilkoro z nas - przypadkowo i ku twojemu wielkiemu zdziwieniu - znajdzie się w tej restauracji. Przygotuję ich na to spotkanie. Obiecuję. Pamiętam, co zrobiłaś ty, kiedy chciałam pokazać rodzinie Ralpa.
- To fascynujący facet. Jemu się wydaje, że mężczyźni rządzą światem.
- I ma rację, malutka.

Odłożywszy słuchawkę, Sally jeszcze przez chwilę siedziała w fotelu, potem nagle porzuciła te kłopotliwe myśli, spojrzała na zegarek, wstała, przeszła do salonu i włączyła telewizor. Włożyła kasetę do magnetowidu, położyła notatnik i długopis na stoliku do szycia i zajęła się pracą.

Pierwszy film był z gatunku science fiction i nie wymagał szczególnej uwagi.

Pochłonięta bardziej szyciem niż filmem, nie zauważyła, kiedy w pokoju zjawił się Mitch.

- Szszsz. To już prawie koniec - szepnęła.

Mitch usiadł i patrzył na ekran.

Koniec.

Kiedy taśma przewijała się, Mitch pochylił się i spojrział Sally prosto w twarz.

- Pewnych rzeczy w tobie nawet się nie domyślałem.

Sally z trudem powstrzymała śmiech. Czyżby myślał, że oglądała ten film dla przyjemności?

- Częścią mojej pracy jest oglądanie filmów na kasetach, które potem ewentualnie mogłyby być sprze-

dawane u Jamisonów. Ludzie muszą wiedzieć, czego się spodziewać.

Jakie to typowe dla niej, że szyje, oglądając film. Typowa Pracowita Pszczółka.

- Chcesz zobaczyć następny? To komedia. Mamy jeszcze mnóstwo czasu.

- Mnóstwo?

- Idziemy na kolację i na tańce. Obiecałeś. Musiałeś się zdrzemnąć, żeby móc ze mną tańczyć. Szkoda marnować taki talent.

- Mam także inne talenty.

- Nieważne.

- Łatwo ci mówić - rzekł, z trudem zachowując powagę.

Wybuchnął śmiechem i to tak zaraźliwym, że Sally musiała mu zawtórować.

Podawała mu mrożoną herbatę i własnoręcznie upieczone herbatniki. Potem zjedli na spółkę jabłko, banana, i pomarańczę. Była bardzo opiekuńcza i pilnowała, by wypić wodę, którą mu podała.

- Po co oglądasz te wszystkie filmy? - zapytał Mitch.

- Klienci często zwracają kasety. Wiesz przecież o tym. Żeby się przed tym uchronić, najpierw je oglądamy.

- Kto jeszcze to robi?

- Tylko ja.

- To przecież zabiera mnóstwo czasu i na pewno nie jest takie zabawne.

- Niektóre nieznanne filmy są naprawdę znakomite. A te uważane za arcydzieła często są okropne. Jeśli ktoś wydaje dwadzieścia dolarów, to ma prawo wiedzieć, co kupuje.

- Więc oglądasz je wszystkie?
 - Próbowaliśmy zaangażować do tego innych ludzi, ale nie byli obiektywni. Określali filmy jako: w porządku, dobre albo straszne. Potrzebowaliśmy kogoś, kto potrafiłby się zdystansować, być szczerym i bezstronnym.
 - Jak to wytrzymujesz?
 - Szyję.
 - Co... szyjesz?
 - Ubrania dla siebie.
 - A mnie mówiłaś, że skorzystasz z darmowych kolacji u mnie, bo chcesz sobie kupić kostium.
 - Był na wyprzedży, rozprułam go i przerobiłam według własnego gustu.
 - Myślałem, że kupujesz swoje ubrania u znanych projektantów. Są znakomite. Dlaczego nie otworzysz własnego sklepu?
 - Brak mi pieniędzy.
 - Moglibyśmy...
 - Nie chcę prowadzić sklepu. Mogłabym sprzedawać wykroje, ale nudziłoby mnie robienie ciągle i ciągle tych samych rzeczy... i to dla kogoś. Lubię szyć dla siebie.
 - Jesteś bardzo utalentowana.
 - Mam po prostu ten dar.
- Spojrzała na niego i uśmiechnęła się, i wtedy to on poczuł się obdarowany. I trochę przestraszony.
- Muszę zajrzeć do brata, sprawdzić, co u nich słychać - rzekł koło czwartej. - Potem pójde do siebie, wezmę prysznic, przebiorę się i wrócę po ciebie. Dokąd pójdziemy? Masz jakiś pomysł?
 - Zarezerwowałam stolik w Kaboom.
 - Kaboom? Tam pewnie jest straszny hałas i zady-
- ma.

- Wcale nie, będzie bardzo zabawnie. Możesz włożyć, co chcesz. Jedzenie jest bardzo zwyczajne. Kanapki, przekąski.

- Dobrze. Przyjadę po ciebie koło szóstej trzydzieści, pasuje?

- Tak. Co mam włożyć?

- Spódnice. Lubię spódnice.

- A ty co włożysz? Dżinsy? Garnitur?

- Garnitur.

- W porządku.

Mitch poszedł do sypialni po resztę ubrania. Zszedł na dół z uśmiechem, przytulił ją do siebie i pocałował w czoło.

- Niedługo wracam.

- Będę musiała cię odwiedzić.

- Zapomniałem.

Przed swoim domem pocałował ją w policzek i wysiadł z auta. Poczekał, aż Sally odjedzie. Co powinien zrobić, żeby móc być blisko niej?

Wprowadził swój samochód z garażu i pojechał do Roda i Pat. Siedzieli wraz z dziećmi w ogródku. Nie przywitawszy się nawet, przysiadł obok nich. Nie zważał na ich zdziwienie ani protesty Pat, kiedy przytulał do siebie mokre ciałka dzieci. Wcale mu nie przeszkadzało, że malcy ociekają wodą.

- Sprzedałbyś mi swój dom? - zapytał Roda. - Ty i tak mieszkasz tutaj, a dom stoi pusty. Dla nas nie wiążą się z nim żadne wspomnienia.

- Dla nas?

- Dla mnie.

- Myśleliśmy z Pat, żeby zatrzymać go dla dzieciaków. Kiedy skończą pięć lat, będą mogły się tam przeprowadzić.

Mitch nie skomentował tego pomysłu.

- Skąd wiedziałeś, że Pat jest tą, której szukałeś?

- Podświadomie. Nie miałem wyboru. To było przeznaczenie. Musiałem poślubić Cheryl, a Pat musiała wyjść za Felka, żebyśmy mogli w końcu się pobrać. To było nam pisane.

- I po prostu o tym wiedziałeś?

- Z początku próbowałem to zignorować, ale potem dałem za wygraną.

- Broniłeś się?

- Tak. Dopóki nie zaczęli się za Pat uganiać inni i nie przestraszyłem się, że mogę ją stracić.

Mitch kiwnął głową. Był szczęśliwy i zadowolony.

- Kocham Sally - powiedział.

- Naprawdę? Nigdy byśmy się tego nie domyślili.

- Tak. Chciałem się upewnić, zanim wam powiem.

Rod wybuchnął głośnym śmiechem i spojrzał na Pat.

- Przyjmij nasze gratulacje - powiedziała bratowa.

Mitch skinął głową.

- Sally nic o tym nie wie.

- Będzie bardzo zdziwiona - rzekł z ironią Rod i znowu się roześmiał.

- A w sprawie domu...

- Myślę, że Rod powinien ci go sprzedać - powiedziała Pat. - Nie będzie miał wówczas dokąd uciec od swojej rodziny.

Rod spojrzał na zaokrąglony brzuch Pat.

- Przecież nigdy bym tego nie zrobił.

- A poza tym chciałabym, żeby dzieci mieszkały z nami.

- Przez cały czas? - przeraził się Rod.

Pat uniosła brwi i kilka razy pokiwała głową.

- Tak.

- Szkoda, że wcześniej tego nie wiedziałem - rzekł Rod.
 - Lepiej zadaj Sally wszystkie pytania zawczasu.
 - Będzie wspaniale - rzekł Mitch.
 - Lubię ten ogród.
 - To mój ogród - zauważyła Pat.
 - Jeśli chcesz z niego korzystać, będziesz musiał pomóc mi go uprawiać.
 - Dzieciaki muszą przestać go dewastować.
 - Mnie to nie przeszkadza.
 - Widzę, że je rozpieszczasz.
 - Wolę dzieci niż ogrody.
 - Mogą bawić się na podjeździe albo na chodniku.
 - Mogą bawić się w ogrodzie.
- Mitch rozejrzał się dokoła.
- No tak, dom stoi przy bocznej uliczce. Może nikt nie zauważy takiego zrujnowanego ogrodu.
 - Zostaniesz współwłaścicielem, jeśli będziesz pomagał.
 - Więcej dzieci?
 - Więcej kwiatów.
 - Bardziej podobałoby mi się chyba robienie dzieci niż kopanie ogródka.
 - Dzieci pomogą w kopaniu - wtrącił bystro Rod.
 - Zauważyłem - odparł Mitch.
 - Jestem umówiony z Sally - rzucił po prostu i poszedł.

Dopiero kiedy Mitch odjechał, Rod wybuchnął głośnym śmiechem.

- Jedno jest pewne - zwrócił się do Pat.
- Kiedy ja z tobą chodziłem, nigdy nie byłem taki rozkojarzony.
- Oczywiście, że nie.

Po drodze Mitch pozbył się pogniecionego pudełka z resztką prezerwatyw i kupił nowe. Po powrocie wyjął z pudełka kilka sztuk, a pudełko włożył do szuflady nocnego stolika.

Wziął prysznic i ubrał się, a potem wyjął prezerwatywy z nocnego stolika i włożył je pod ręczniki w szafce. Cztery sztuki wsunął do kieszeni.

Rozejrzał się jeszcze po mieszkaniu, a potem wyszedł i pojechał na północ miasta do domu Sally. Za chwilę ją zobaczy. Będą tańczyć i spędzi cały wieczór, trzymając ją w ramionach. Czy potem Sally przyjdzie do niego i znowu będzie z nim spać? Bardzo wątpił, że pozwoli mu pójść do siebie i spędzić noc w jej domu.

Ubierając się, Sally myślała o Mitchu. Co będzie, jeśli się z nim zwiąże? Jak wpłynie to na jej życie? Jeśli to życie ma potoczyć się tak, jak sobie zaplanowała, musi natychmiast przerwać to... szaleństwo. Bo to szaleństwo. Jak to możliwe, żeby tak ją opętał jakiś mężczyzna? Paraliżował jej umysł i zmysły.

Bardzo... bardzo ją pociąga fizycznie.

A co z jej planami? A gdyby przyjęła którąś z ofert, których tyle napłynęło w ostatnim miesiącu? Niektóre były bardzo kuszące. Ale jeśli to zrobi, będzie musiała opuścić Fort Wayne... i Mitcha.

Czy Mitch zgodzi się towarzyszyć jej, by nie straciła szansy zrobienia kariery? Czy raczej powie: wybieraj?

A jeśli tak powie, to co ona powinna zrobić? Potrafiła opuścić swą rodzinę i miasto, ale czy będzie mogła opuścić Mitcha?

Niczego jej nie zaofiarował. Zaledwie łatwą i swobodną rozmowę. I... gwałtowny seks. Nie, wcale nie musi być gwałtowny. Mitch jest taki słodki i delikatny... i zabawny.

Siedziała na łóżku, z włożoną tylko jedną pończochą, i uśmiechała się do siebie.

Co się z nią stało? Zawsze była taka konkretna i zdecydowana.

Może to rzeczywiście wszystko przez to, że ten mężczyzna pociąga ją seksualnie. Jest przystojny i działa na jej zmysły. Może to tylko to.

Sally uniosła głowę. Oto proste rozwiązanie. Poromansuje z nim aż do zaspokojenia i przesyty, a potem problem zniknie.

Tak właśnie powinna zrobić.

Uśmiechając się i pogwizdując, skończyła się ubierać. Będzie miała romans z Mitchellem Goalongiem. Co za nazwisko! Salamander Goalong. Wielki Boże!

Kiedy przyjechał Mitch, była już ubrana, umalowana i dyskretnie uperfumowana. Otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do swojej ofiary.

Bił od niej jakiś dziwny blask. Mitch stanął jak zahipnotyzowany.

Stali tak przez dłuższą chwilę i po prostu patrzyli na siebie, nic nie mówiąc.

- Cześć - wyjąkał w końcu Mitch.

Sally uśmiechnęła się szerzej.

- Jesteś wspaniała.

- Mówisz o tej starej kiecce?

Dopiero wtedy zauważył sukienkę.

- Jest naprawdę piękna... na tobie.

- Ty też pięknie wyglądasz.

Cała ta rozmowa wydawała im się bardzo logiczna.

Pojechali do Kaboom. O tej porze nie było tu zbyt wielu gości. Znaleźli stolik i usiedli przy nim. Zamówili wino i uśmiechali się do siebie.

Potem tańczyli. Mieli cały parkiet dla siebie. Zamówili dużą kanapkę i podzielili się nią.

Wypili jeszcze trochę wina. Mitch odprężył się. Miał przed sobą cały wieczór. Nikt mu nie przeszkodzi.

Może zacząć swoją kampanię. Nieważne, w którym łóżku będą spać tej nocy.

- Cześć! Co za spotkanie! Nie widziałam cię od stu lat!

Sally wstała i padła w ramiona jakiejś kobiety. Mężczyzna, który jej towarzyszył, pocałował Sally w policzek i spojrzał niechętnie na Mitcha.

Sally i nie znana Mitchowi kobieta rozmawiały z ożywieniem.

- Jestem Ralph - rzekł mężczyzna.

Mitch skinął głową.

- Jestem Mitch.

To najwyraźniej rozbawiło tego potężnego, ubranego w dżinsy i kraciatą koszulę mężczyznę.

Ralph nie podtrzymywał rozmowy, Mitch też nie miał na to ochoty, stali więc w milczeniu.

- Betty, to jest Mitch Goalong - powiedziała w końcu Sally. - Mitch, to moja siostra, Betty Travis. A to mąż Betty, Ralph.

Wściekły, że facet wcześniej nie wspomniał o pokrewieństwie, Mitch wyciągnął rękę. Ralph nadal był czymś rozbawiony.

- Weźmy większy stół - zaproponowała Betty.

- Wiesz, kto jeszcze przyjdzie? May i Fred! Wiedziałam, że się zdziwisz! I może jeszcze Joyce i Tom! Co za spotkanie!

To stwierdzenie wywołało wybuch śmiechu. Mitch jeszcze nigdy nie widział Sally tak ożywionej.

Ralph znalazł stół i wszyscy się tam przenieśli. Mitch był wyraźnie rozczarowany. Nie chciał dzielić się Sally z nikim innym.

Przyglądał się Ralphowi z lekkim uśmiechem.

- Może piwo? - zaproponował szwagier Sally.

- Piłem wino i jeśli zamówię piwo, to może się dla mnie źle skończyć.

- Nie wyglądasz na słabeusza.

Obaj wybuchnęli śmiechem, trochę już bardziej zaprzyjaźnieni.

Przybyli zapowiedziani przez Betty ludzie. Kolejne siostry Sally z mężami, jak się okazało. Mitch, wychowany przez Salty'ego i Felicję, był przyzwyczajony do przyjaźni między rodzeństwem. Z przyjemnością patrzył na rodzinę Sally.

A potem po prostu wstał, wziął Sally za rękę, żeby przestała rozmawiać i zatańczyła z nim.

- Co za niespodziewane spotkanie! - powiedziała Sally.

Mitch uśmiechnął się. Trzymał ją w ramionach. Tańczył z nią. Zauważył, że siedzący przy stoliku krewni Sally przyglądają się im bacznie i że siostry wymieniają uwagi, patrząc, jak najmłodsza latorośl Yoderów tańczy z tym wysokim nieznajomym.

- Czy powiedziałaś im, że jesteś bezpieczna w moim towarzystwie jeszcze tylko przez dzień czy dwa?

- Mitchell! - Sally zarumieniła się, a potem parsknęła śmiechem. Mitch nie zwracał już więcej uwagi na towarzystwo czekające na nich przy stoliku. Przy stoliku Ralpa.

Sally spotkała krewnych. Przedstawiła im Mitcha, a oni oczywiście komentowali jego dziwne nazwisko.

Ciekawe, czy Sally nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby nazywać się Salamander Goalong? pomyślał Mitch.

Przy jakimś wolnym kawałku Mitch mógł pokazać

cały swój kunszt tancerza. Potem wszystkie siostry domagały się swojej kolejki. Były całki niezłe.

- To prawdziwa przyjemność tańczyć z pannami Yoder - rzekł Mitch, prowadząc na parkiet Betty.

- Jesteście naprawdę wyjątkowe.

- Było nas tak dużo w domu, więc często się bawiliśmy - wyjaśniła Betty. - Chłopcy z ojcem usuwali meble w pokojach na dole, żebyśmy mogły nauczyć się tańczyć. A potem uczyliśmy wszystkich w okolicy.

- To wy nie mieszkacie w Fort Wayne?

- W tym ogromnym, dusznym mieście? Skądże znowu!

- Sally jakoś się przyzwyczaiała.

- Sally jest wyjątkowa. /

Mitch spojrział w kierunku Sally. Przy stoliku stali starsi państwo i Sally czule się z nimi witała. Mitch gotów był się założyć o swój nowy dywan, że to jej rodzice. Czyżby cała rodzina Sally zebrała się tu, żeby go obejrzyć? Niezbyt subtelne posunięcie.

Odprowadził Betty do stolika i rzeczywiście przedstawiono go rodzicom Sally.

- A więc państwo są rodzicami Salamander.

Wybuchnęli śmiechem. Potem inaczej już spojrzeli na Sally. Poważniej. Czulej. Zrozumieli, jak bardzo intymne stosunki łączą ich córkę z tym mężczyzną. Wyjawiła mu swe prawdziwe imię.

Potem uważnie przyglądali się Mitchowi. Co z niego za człowiek? Czy złamie serce ich dziecku?

- Czasami ja też muszę zatańczyć z Sally - zwrócił się Mitch do Joyce.

- Teraz Tom będzie z nią tańczył.

- Ty będziesz następny - rzekł Mitch, uśmiechając się lekko do Toma. - Po mnie.

, Nie czekał na odpowiedź, lecz poprowadził Sally prosto na parkiet i wziął ją w ramiona.

- Myślałem, że przez cały wieczór będę cię miał tylko dla siebie - powiedział. - Będziesz musiała potem przyjść do mnie i ukoić moje zranione ego.

- Jeszcze nigdy nie widziałam ego, które wymagałoby mniejszej troski. Jesteś rozrywany, a ze mną zatańczyłeś zaledwie dwa razy.

- Twoje siostry są bardzo sympatyczne. Twoim rodzicom na pewno spodobały się Salty i Felicja. Może byśmy się poświęcili, żeby ci wszyscy wspaniali ludzie mogli stać się rodziną?

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście - szepnął jej do ucha.

- Przecież chodzi ci tylko o seks.

- O seks także.

- Nasze życie bardzo by się zmieniło.

- Tak.

- A jeśli wyrzucą mnie z pracy i będę musiała opuścić miasto?

Mitch wzruszył ramionami.

- Lubię podróżować.

- Zazwyczaj to praca mężczyzny jest na pierwszym miejscu. Jak byś się czuł, wiedząc, że dla mnie najważniejsza jest m o j a praca?

- Moglibyśmy do siebie dojeżdżać.

- Nie - zaprotestowała zdecydowanie Sally.

- Chciałabym z tobą sypiać.

- Właśnie przyznałaś, że to ja jestem dla ciebie najważniejszy.

- Czyżby?

Przytulił ją mocno do siebie.

- Dokładnie tak.

- A niech to.

- Kochasz mnie?

- Coś na pewno się ze mną dzieje. Bardzo dziwnie na mnie działasz. Ja...

-Ty... co?

Sally zmieniła temat.

- Gdybyś się ze mną ożenił, poznałbyś prawdziwe imiona całej mojej rodziny. Mogłoby cię to przerazić.

- Czy twoja prababka jeszcze żyje?

- Ma prawie sto lat.

- Moglibyśmy zaznaczyć w intercyzie, że to Salty i Felicja wybiorą imiona dla naszych dzieci. Czy to by ją powstrzymało?

- Trzeba by ją przekonać.

- Kiedy ją odwiedzimy?

- Nie dzisiaj.

- Jutro jest niedziela. Może więc jutro?

Sally Wybuchnęła śmiechem.

- Musimy uzgodnić wszystko zawczasu. To oszczędzi kłótni, trzaskania drzwiami i krokodylich łez.

- Nigdy nie używam łez jako argumentu. Jestem na to zbyt dumna.

- To dobrze.

Pożegnali się z rodziną Sally i opuścili lokal. W samochodzie panowało milczenie. Oboje pogrążeni byli we własnych myślach. Sally wręcz fizycznie odczuwała bliskość Mitcha, wiedziała, że to mężczyzna, którego kocha.

- Pojedźmy do ciebie - powiedziała.

Zahamował, bo tak bardzo zaskoczyły go jej słowa.

Spojrzał na nią, by upewnić się, że to ona je wypowiedziała.

- Jesteś zdziwiony? - zapytała.
- Czy jesteś pewna, że chcesz jechać do mnie?
- No, cóż, ty spędziłeś całe popołudnie w moim łóżku. Może teraz kolej na mnie... w twoim.
- Tak - rzekł dziwnym głosem Mitch.

Nagle uświadomił sobie, że stoją na środku jezdni. Zwolnił hamulec i wcisnął gaz. Jechał wolno i w milczeniu. Bał się, że Sally zmieni zdanie.

Zajechał przed garaż i pomógł jej wysiąść tak ostrożnie, jakby była czymś bardzo kruchym. Wciąż w milczeniu, oddychając urywanie, zaprowadził ją na górę.

Sally z trudem zachowywała spokój.

- Jesteś pewna? - zapytał, kiedy weszli do sypialni. Skinęła głową i spojrzała na niego nie widzącym wzrokiem. Nie wiedziała, co ma dalej robić.

- Pozwól mi cię rozebrać - poprosił.
- Mogę to zrobić sama.
- Daj mi tę szansę.
- Będzie mi głupio.
- Proszę.
- Może innym razem.
- Czy chcesz pójść do łazienki? A może wolisz, żebym wyszedł z pokoju, kiedy będziesz się rozbierać?
- Tak.

Czekał, aż się zdecyduje, a kiedy się nie ruszyła, wszedł do łazienki. Kiedy wrócił, w pokoju było ciemno. Sally leżała w łóżku. Jak to dobrze, że był już przygotowany.

Delikatnie wsunął się pod prześcieradło. Oddychał chrapliwie i czuł się jak zwierzę. Z trudem starał się panować nad sobą.

- Okres skończył mi się trzy dni temu. Potrzeba mi było jednak jeszcze trochę czasu.
 - Rozumiem. A teraz jesteś już pewna?
 - Tak.
 - O, Salamander! - Cały drżąc, przyciągnął ją do siebie. - Będę cię całował - ostrzegł.
 - Jestem gotowa.
- I było tak jak zawsze. Chaos.

SCANDALOUS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Było bardzo wczesnie, kiedy Mitchell Goalong i Sally Yoder obudzili się w jednym łóżku, przytuleni do siebie. Patrzyli sobie w oczy, a w końcu wybuchnęli śmiechem. Wstali i poszli do łazienki napić się wody, a potem znów patrzyli na siebie w nikłym świetle poranka.

W ich oczach malowała się czułość, a pieśczoły były bardzo delikatne. Nie trwało to długo. Wrócili do łóżka i znowu wzięli udział w tym niesamowitym emocjonalnym i fizycznym starciu.

Tym razem trwało to trochę dłużej. Na tyle dłużej, by zdążyli lepiej poznać swe ciała. Starali się utrzymać jeden wspólny rytm, okazać trochę rezerwy. Naiwni, głupi ludzie. Skończyło się tym samym.

Potem znowu się zdrzemnęli.

Zupełnie wykończeni, dotarli nad jezioro tylko dwie godziny spóźnieni. Odszukali Pike'a i jego ferajnę, ale nie podali powodu swego spóźnienia.

Siedzieli i uśmiechali się, jakby nieobecni. Starali się uczestniczyć w pływaniu i pieczeniu wszystkiego, co się dało, łącznie z kawałkami ananasa, ale czuli się, jakby zstąpili z Olimpu, by z pobłażaniem obserwować zachowanie się ludzkich istot.

Późnym popołudniem opuścili towarzystwo, by wrócić do mieszkania Mitcha.

- Teraz kolej na mój dom -powiedziała jednak po drodze Sally.

Musieli więc zatrzymać się i kupić pudełko prezerwatyw.

Kochanie się w ciemnościach to jedna sprawa, ale w pełnym świetle to zupełnie co innego, więc Sally przez cały czas rumieniła się zażenowana.

Mitchell był nią oczarowany. Uśmiechał się, patrząc na płonące rumieńcem policzki dziewczyny. Położył ją na łóżku, a ona patrzyła na niego z powagą.

Całował całe jej ciało. Sally wzdychała i zmieniała pozycje, by mógł dotykać jej tam, gdzie chciała. Był to powolny i piękny taniec miłości. Z początku. Potem przeszli do pocałunków i znowu wszystko wokół nich przestało istnieć.

Byli coraz bardziej spragnieni siebie, ich ciała trawił ogień pożądania.

A jednak jakoś to przeżyli.

- Jeśli wszyscy ludzie kochają się w ten sposób, to ludzkość na tej planecie przetrwa wszelkie kataklizmy - zauważył Mitch, kiedy był już w stanie mówić.

- Sama się nad tym od wczoraj zastanawiam - przyznała Sally, zwijając w pierścionki jego mokre od potu włosy. - Nikt mi nigdy o czymś takim nie mówił. Myślisz, że wszyscy tak samo to przeżywają? I że traktują seks jak coś normalnego?

- Nie wiem.

- To coś oszałamiającego.

- Tak.

- Dziwię się, że wciąż jesteśmy cali i zdrowi.

- Tak.

- Trochę tylko brakowało tlenu.

A więc i ona zauważyła, że za każdym razem opuszczają swoją planetę.

- To cudowne przeżycie - powiedziała.

- Tak.

A potem przyglądali się sobie w milczeniu. Łączyło ich coś naprawdę poważnego.

Tydzień minął im jak jeden dzień. Nadeszła niedziela i Mitchell z Sally pojechali odwiedzić jej prababkę.

- Pamiętaj, że jest bardzo stara - przypomniała Mitchowi Sally. - Mama mówi, że była bardzo wytworną, kulturalną damą, ale teraz często ma czkawkę. Nie chcę, żebyś czuł się skrępowany.

- Nie będę. Jak ona się nazywa?

- Susan Yoder.

- Dlaczego wymyśla wszystkim dzieciom z waszej rodziny takie dziwne imiona, skoro sama nosi zwyczajne?

- Nie mam pojęcia.

Czekali, aż opiekunki posadzą panią Yoder w fotelu na kółkach i przywiozą do pokoju gościnnego, wołając głośno: Ma pani gości!

- Mamy taką dużą rodzinę, że praktycznie codziennie ktoś ją odwiedza - poinformowała Mitcha Sally.

Starsza pani na fotelu była bardzo drobnitka. Skórzany pas przypięty do oparcia podtrzymywał ją w pozycji siedzącej. Wydawała się wręcz przezroczysta.

- A więc to ty jesteś ukochanym Salamander - powiedziała głośno.

- Tak, proszę pani.

Pani Yoder uśmiechnęła się.

- W młodości musiała być pani przepiękną kobietą
- powiedział Mitch.

Pani Yoder uniosła brodę dokładnie w taki sam sposób jak Sally.

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była młoda. Nawet nie jestem pewna, czy nadal jestem kobietą. Ostatni sanitariusz, któremu się oświadczyłam, był oburzony. Powiedział, że mógłby być moim wnukiem. Chyba się przechwalał.

Uniosła szponiastą dłoń i poprawiła kosmyk ufarbowanych na rudo włosów.

- Mój mąż groził kiedyś, że wysmaga mnie batem. Poszłam do stajni, wzięłam bat i to ja jego wysmagałam.

- Ależ, babciu, jak mogłaś!

- Żadnemu mężczyźnie nie mogło to ująć na sucho. Zapamiętaj to. Ten tutaj też wygląda mi na takiego, który lubi rządzić. Będzie taki słodki, że nawet tego nie zauważysz. Bądź czujna.

- Tak jest.

- Ależ proszę pani. Niech pani nie maści tej słodkiej dziewczynie w głowie.

- Widzisz? Wiedziałam. Tylko spójrz na niego.

Susan Yoder Wybuchnęła śmiechem i kłapnęła zębami.

- Podejrzewam, że wszystkiego pani w życiu doświadczyła - rzekł nieco złośliwie Mitch. - Ma pani szczęście, że pani całe pokolenie już wymarło i nie ma kto o pani plotkować. Czy żuła pani kiedyś tytoń?

- Owszem, próbowałam. Benjamin dostał szału.

- Benjamin to był jej mąż - wyjaśniła Sally.

- Niezłą mu pani musiała dać szkołę.

Susan Yoder spoważniała.

- Powiedział, że będzie czekał na mnie po tamtej

stronie Styksu. Liczę na to. Nie wiem tylko, czemu tak długo muszę czekać na to spotkanie.

- Może po to, żeby nadać imiona naszym dzieciom? - rzekł miękko Mitch.

Sally rzuciła mu spojrzenie pełne przerażenia, ale on patrzył na Susan.

- A więc takie masz plany, tak? A co Salamander myśli o tobie?

- Chyba trochę mnie... lubi.

Susan Yoder spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się.

- Będzie musiała nieźle się namęczyć, żeby utrzymać cię w ryzach.

- Pomogę jej.

- Jasne. Tak właśnie zrobi, Salamander. Będzie tak chytry i miły, że będzie ci się wydawało, że to ty nad wszystkim panujesz.

Już za progiem Sally zaatakowała Mitcha.

- Przecież ty ją wręcz z a c h ę c a ł e ś, żeby wymyśliła imiona dla naszych dzieci! Jak mogłeś to zrobić?

- Będą miały imiona łatwe do zapamiętania. Ona najwyraźniej nie lubiła, kiedy mówiło się do niej: Susan. Może miała wroga o tym imieniu?

- Zapytam babkę. Wiesz, że prababcia rzeczywiście była trudną osobą? Kiedy z nami zamieszkała, mama omal nie uciekła z domu.

- A co zrobił twój ojciec?

- Porozmawiał ze swoim ojcem, jej synem.

- A on co zrobił?

- Życzył nam wszystkim powodzenia.

Mitch wybuchnął śmiechem.

- Jak mogłeś dać jej prawo wyboru imion dla naszych dzieci? - powtórzyła Sally.
- A więc przyznajesz, że będziemy mieli wspólne dzieci?
- Możliwe.
- Najpierw musisz mnie poślubić.
- Taak.
- Nie powiedziałaś tego ze szczególnym entuzjazmem.
- Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś coś takiego naszym małym, nie narodzonym dzieciom!
- Zorientują się, że ich imiona są wyjątkowe, i będą z nich dumne.

Sally spojrzała na swego ukochanego i ku własnej złości, przyznała mu rację. Nikt nigdy nie zapytał Susan, czy żuła tytoń. Mitchell Goalong nie jest konformistą ani kimś zwyczajnym. Nie przeszkadza mu, że nazywa się Goalong. Jego dzieci będą równie wyjątkowe. Na pewno.

Przez następny tydzień w pracy starali się nie widywać. Nie chcieli, by wszyscy wiedzieli, że są kochankami. Oczywiście była to tajemnica poliszynela.

Czasami wymieniali z daleka spojrzenia i każdy, kto miał nieszczęście znaleźć się między nimi, czuł się jak oskubane kurczę opalone na ogniu.

W następny weekend Mitch zawiózł Sally do domu, by poznała jego przybranych rodziców i starą ciotkę.

Ciotka nie była taka stara jak prababka Sally, Susan Yoder, ale była osobą wiekową. Nadal mieszkała sama, ale miała sporą grupę opiekunów, którzy robili jej zakupy, gotowali i sprząтали.

Sally przytomnie zabrała ze sobą magnetofon, żeby nagrać opowieść ciotki o rodzinie Mitchella. Okazało

się, że u Goalongów wszystkie kobiety były męczennicami, a mężczyźni łajdakami.

Stojący z boku, poza zasięgiem wzroku ciotki Maddie, Mitch zaprzeczał jej słowom zdecydowanym kręceniem głową, ale w jego oczach iskrzył się śmiech.

Członkowie rodziny Brownów w Tempie w stanie Ohio byli bardzo podobni do Yoderów. Jediną różnicę stanowiło to, że Yoderowie byli rzeczywiście ze sobą spokrewnieni.

- Jak to dobrze, że Mitch miał w dzieciństwie was - powiedziała Sally do Felicji.

- Był bardzo dociekliwym dzieckiem. Ciagle z kimś współzawodniczył i coś organizował. Stale o wszystko się kłócił. Bardzo nam go brak.

Wielkie, pełne wyrazu oczy Felicji badawczo patrzyły na Sally. Jej cudowny głos był szczególnie delikatny i miękki, kiedy mówiła do kobiety, która pokochała Mitchella Goalonga.

- Bardzo się cieszymy, że Mitch cię spotkał - powiedziała.

Czując, że usunęli wszystkie przeszkody, zakochani wrócili do Fort Wayne. Wszystko szło dobrze. Byli dyskretni, przynajmniej tak im się wydawało, a życie było cudowne.

Dwa tygodnie później, na początku września, okazało się jednak, że Sally znowu coś planuje. Nie miało to tym razem nic wspólnego z oceną filmów, reklamą czy inną formą przyciągania klientów. Sprawa dotyczyła jedynej kobiety wśród Jamisonów, imieniem Abigail.

Mitch zwrócił się do Pracowitej Pszczółki, do Sally Yoder, swej ukochanej, najdroższej i tak dalej, łagodnie, ale bardzo stanowczo i z dużą podejrzliwością.

- Dlaczego namawiasz Abigail Jamison, żeby do

pracy nosiła szare garnitury tak jak jej kuzyni? - zapytał.,

Sally Yoder odpowiedziała mu spokojnie:

- Przecież nazywa się Jamison.

- I co z tego?

- Mimo że jest kobietą, ma wystarczające kwalifikacje, by zająć przysługujące jej miejsce w hierarchii Jamisonów.

- Musi być jakaś skaza w twoich genach, o której mi nie wspomniałaś. Co przede mną ukrywasz?

Sally uniosła do góry brwi, zdziwiona, że nie rozumie tak podstawowych rzeczy.

- Ukończyła Yale.

- Ty też jesteś kobietą, a poczęstowali cię cygarem. Oni w ogóle nie dopuszczają do siebie myśli, że kobiety też mogą zajmować się biznesem.

- Pora wiec, by to do nich dotarło.

Tak więc Mitch spędził sporo czasu, spoglądając przez otwarte drzwi swego gabinetu na wiatrak Rembrandta. Zachmurzone niebo przywodziło mu na myśl jego sytuację. U Jamisonów też zbierało się na burzę. Jego Pracowita Pszczółka wsadzała nos w nie swoje sprawy.

Z coraz większym zainteresowaniem czytał oferty pracy w „Wall Street Journal”.

Kiedy w końcu znaleźli się sami, kochali się z niezmienną namiętnością. Nadal była to kosmiczna miłość. A kiedy był już w stanie mówić, zapewnił ją: „Będę się tobą opiekował”.

Jej mocno oszołomiony umysł usłyszał to i zarejestrował.

- Co powiedziałeś? - zamruczała.

- Nie musisz się o nic martwić. Niezależnie co się stanie, będę się tobą opiekował.

Choć z wielkim trudem, biorąc pod uwagę sytuację, znów zapytała:

- O czym mówisz?
 - Że cię kocham. Chcę, żebyś za mnie wyszła.
- I niezależnie od tego, co się stanie, będę przy tobie.
- Czy to znaczy, że znowu straciłam pracę? - zapytała zaniepokojona.
 - Nie.
 - Więc po co ta mowa?
 - Chcę, żebyś się czuła bezpieczna.
 - Jestem bezpieczna.
 - Chcę, żebyś wiedziała, że będę się tobą opiekował.
 - To bardzo ładnie z twojej strony - powiedziała.
- Ja też będę się tobą opiekować, ale bez przesady. Nie za dużo, nie za mało.
- Dziękuję.
 - Od czego zaczęła się ta rozmowa?
 - Kocham cię.
- Sally uśmiechnęła się.
- Czy czujesz się jak superman?
 - Nie w tej chwili.
 - Nie rozumiem, jak mogłeś tak szybko dojść do siebie po tym, co razem przeżyliśmy, i stać się taki logiczny i konkretny. Ja ciągle jeszcze czuję to nie kończą...
 - To wcale nie jest nie kończące się.
 - Nie bądź wulgarny.
 - Wyjdiesz za mnie? - zapytał ostrożnie.
 - Możliwe.
 - Muszę wiedzieć, czy moje nazwisko...
 - O czym ty mówisz? - zapytała i nawet przyłożyła złożoną w trąbkę dłoń do ucha.

- Chwileczkę, zaczekaj. Spróbuję powiedzieć to jakoś inaczej.

- Czyżby moja prababcia miała rację, oceniając cię jako mężczyznę, który lubi dominować?

- Nie.

Ułożyła głowę wygodniej na poduszce i zacisnęła usta, udając niezadowolenie.

- To typowa męska odpowiedź! Wielki Boże! Dlaczego nie możesz mi się podlizać i powiedzieć, że pozwolisz mi rządzić?

- Nie teraz. Jestem wykończony.

- Ty wstręciuchu!

Zaatakowała go, próbując zepchnąć z łóżka. Poddała się po krótkiej walce.

Oczywiście skłamał, mówiąc, że jest wykończony.

Odbывał się coroczny bankiet Jamisonów, na którym żegnano odchodzących na emeryturę, innych promowano i nagradzano. Urządzono go w Centrum Grand Wayne i był bardzo wystawny. Wszyscy goście zjawili się elegancko ubrani i zaproszenie uważali za zaszczyt.

Pięknie nakryte stoły, u szczytu głównego Edgar i jego dwóch bratanków, przedstawiciele prasy i telewizji.

Mitch zauważył, że Abigail posadzono przy jednym z okrągłych stolików tuż obok głównego.

Zajrzał do Centrum, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, i zastał tam Sally. Nie miała żadnego oficjalnego powodu, żeby tam być. Przyglądał jej się uważnie. Siedziała przy okrągłym stoliku tuż obok stołu głównego.

Przypomniał sobie, ile wysiłku wkłada w pracę u Jamisonów. Ale czy oni wiedzą, jaki mają skarb?

Przedtem była u niego. Przebierali się na wieczór. Podarował jej brylantowy wisiołek i zawiesił na szyi. Pocałował ją w ramię.

- Będziesz najpiękniejszą kobietą na tym przyjęciu.
- Bzdura.
- Byłem na wszystkich poprzednich imprezach i mogę ci powiedzieć, że jesteś najpiękniejszą kobietą tego kraju.

- Nie byłeś jeszcze na północno-zachodnich krańcach. Może tam mieszka kobieta jeszcze piękniejsza ode mnie.

- Pismo „People” już dawno zamieściłoby jej zdjęcie na swojej okładce. A skoro tak się nie stało, więc to znaczy, że nadal szukają ciebie. Masz szczęście, że oboje jesteśmy już ubrani i że musimy tam być za piętnaście minut... Ej, piętnaście minut może wystarczyć. Chwileczkę! Nie! Nie protestuj! Nie rozmażę ci makijażu. Nawet nie musisz się kłaskać. Oprę cię o ścianę. Sally, jesteś najbardziej samolubną i upartą kobietą, jaką znam!

- Mówiłeś już te teksty innym kobietom?

- Nie.

Kiedy przyjechali do Centrum, Mitch od razu zauważył, że Abigail ubrana jest w damską wersję smokingu. Zauważył też, że Sally poleciła specjalistom od oświetlenia, by szczególnie dobrze oświetlili jej stół.

Ciarki przebiegły mu po plecach. Sally znowu coś knuje.

Abigail była spokojna. Uśmiechała się i była wobec wszystkich bardzo uprzejma. Ale Mitch zauważył, że puszcza oko do Sally. A więc są w zмовie! Kiedy zaczęły się przemówienia, Mitch zorientował się, że

Jamisonowie patrzą na jasno oświetlony stolik swej bratanicy.

Ludzie nie są głupi. Też zauważyli, że Abigail ma strój imitujący ubranie jej wujów i dziadka. Bardzo ich to rozbawiło i czekali na rozwój sytuacji.

I nagle mistrz ceremonii przedstawił Abigail jako nową pracownicę!

Edgar spojrział na niego zdziwiony. A Abigail wstała i ukloniła się po męsku. Zebrani poczęli klaskać.

Wstała też Sally i zaczęła bić brawo.

Mitch nie mógł pozwolić, by jego ukochana stała sama, więc podniósł się i począł klaskać.

Jako ostatni dołączył się do tłumu Edgar i jego dwóch bratanków.

Potem wszystko poszło już normalnie. Ludzie jedli, pili i bawili się.

Mitch zabrał Pracowitą Pszczółkę do siebie.

- Sprawdzasz, jak kruchy jest lód? - zapytał, zamknąwszy drzwi.

- Nie rozumiem.

- Może wobec tego powinienem zapytać, czy sprawdzasz, jak daleko możesz się posunąć.

Sally wzruszyła ramionami.

- Zobaczymy.

Mitch zajrzał do szafy, potem do komody, poszedł nawet do gościnnej sypialni. W końcu znalazł to, czego szukał. Była to czerwona koszula.

- Proszę. Włóż to. Nie mam niestety czerwonego płaszcza.

Sally wcale się nie zmieszała. Uśmiechnęła się i wzięła koszulę.

- Dziękuję.

Weekend mieli bardzo wyczerpujący. Dwa razy spotkali się z jej rodziną, odwiedzili też Pat i Roda.

W niedzielę wieczorem Sally wróciła na noc do siebie.

- Muszę zrobić pranie i wyprasować rzeczy na przyszły tydzień.

- Powinnaś się do mnie wprowadzić.

- Wprowadzę się, ale po ślubie.

- Kocham cię, Salamander.

- Wiem.

Przyglądała mu się uważnie, a potem dodała:

- Wiesz, że jutro mogą mnie wylać z pracy?

- Mam nadzieję, że mają więcej rozumu.

- A wiesz, że jest taka możliwość?

- Nie.

- Jesteś cudowny. Ale ja naprawdę cały czas zastanawiam się, jak Jamisonowie zareagują na sprawę Abigail. Pewnie jutro obie zostaniemy wezwane na dywanik. Przedstawienie jej w świetle reflektorów było bardzo ryzykowne.

- Nie - odparł poważnie Mitch. - Tak właśnie powinni zrobić.

- Oni tak, ale nie my.

- Wiesz, że cię poprę?

- Nie chcę cię w to mieszać.

- Już jestem wmieszany.

- Nie mieszaj dwóch rzeczy. To sprawy zawodowe.

W poniedziałek rano okazało się, że Abigail została jednym z wiceprezesów firmy.

A dziesiątego października Mitch i Sally pobrali się. Odbyło się huczne wesele. Zjawiła się nawet prababka Susan i Wybuchnęła śmiechem, kiedy po

całej ceremonii zażenowany Mitch pocałował Sally w czoło.

Później też, przez całe długie wspólne życie, Mitch i Sally nigdy nie całowali się przy ludziach. Ich kosmiczne pocałunki bowiem nigdy nie straciły na intensywności.

Jak Rod i Pat, i wszyscy inni, oni także żyli długo i szczęśliwie.

Przynajmniej przez większość dni.

SCANDALOUS